

SABINE BOTH

**PRZEPROWADZKA DO SIÓDMEGO
NIEBA**



PO PROSTU KOOOOSZMAR!

- Julia, stoisz mi na drodze! - rzucił tato zza pudła i potykając się, przeszedł obok mnie.

Po trzecim razie zaczęłam liczyć i dojechałam już do szesnastu. Całe szesnaście razy: „Julia, stoisz mi na drodze!”.

Super! A gdzie miałam stać? Na całej podłodze piętrzyły się niezliczone kartony i na wpół wypełnione kosze na bieliznę - poza wąską dróżką pomiędzy nimi. Nienawidziłam koszy na bieliznę. Nienawidziłam kartonów. Nienawidziłam przewodzek.

Kilka tygodni temu tato wrócił do domu z butelką szampana i otwierając ją, wyjawiał nam powód tej niecodziennej uroczystości.

- Dostałem superofertę pracy z firmy komputerowej w Kolonii! - trąkotał zachwycony, siorbiąc przelewającego się szampana.

Nie przeczuwając nic złego, słuchałam jednym uchem straszliwie nudnych opowieści o zaletach nowej pracy i planowałam w myślach, jaki kostium kąpielowy założę na zawody pływackie, które miały się odbyć za miesiąc.

- Przyjąłem ją - zakończył tato.

- Ekstra! - wykrzyknęła moja starsza siostra Cora.

- W Kolonii mnóstwo się dzieje!

- Był już najwyższy czas, żebyś znalazł pracę odpowiadającą twoim kwalifikacjom - ucieszyła się mama.

Jakoś nikt w mojej rodzinie nie myślał chyba praktycznie. A może nie uważali na geografii?

- Tato, czy Kolonia nie jest za daleko? Będziesz jeździł pociągiem czy samochodem? - spytałam.

Tato spojrział na mnie zdumiony i zamknął oczy.

- O co chodzi? - zmieszałam się. - Czy to głupie pytanie?

Zerknęłam na mamę. Ona też patrzyła ze zdumieniem. Skierowałam wzrok na Corę. Uniosła brwi i kręciła głową, jak zawsze, kiedy nic nie kapowałam.

- Aniołku! - odezwał się tato głosem, jakiego używał, gdy chciał ogłędnie przekazać złe wiadomości.

- Chyba nie zrozumiałaś.

- Czego? - spytałam naiwnie.

- O rany, ale ty jesteś ciężko kapująca - burknęła Cora. - Tato nie zamierza dojeżdżać codziennie cztery godziny tam i cztery z powrotem, ani samochodem, ani pociągiem.

- Jak to? - zdziwiłam się, nie wiedząc, do czego zmierza siostra. Chciał latać do tej Kolonii? Biegać? Nic nie rozumiałam.

Tato dał Corze znak ręką, żeby zamilkła. Cora skrzyżowała ręce na piersiach i wzruszyła ramionami.

- Aniołku, przeprowadzamy się do Kolonii - powiedział łagodnym tonem.

Usłyszałam to. Zrozumiałam nawet słowa. Akustycznie. Ale ich treść nie chciała dotrzeć do mojego mózgu. „Przeprowadzamy się? Przeprowadzamy się?”, tłukło mi się po głowie.

- Kolonia jest taka superancka! - cieszyła się Cora, podczas gdy ja gorączkowo myślałam, jakie znaczenie ma słowo „przeprowadzka”.

- Widziałam raz reportaż o placu wokół kolońskiej katedry. Zupełny odjazd. Przychodzą tam tysiące skaterów i wyczyniają po prostu cuda na deskorolkach. Wszyscy wyglądali tak słodko... - rozmarzyła się.

- Zaraz! - Mój mózg nareszcie zdecydował się przeanalizować treść rozmowy. - Nie możemy się przeprowadzić!

- He? - fuknęła Cora i popukała się w czoło. - Masz nierówno pod sufitem?

- Mam całkowicie równo! - odparowałam. - Właśnie zostałam przewodniczącą klasy. Kadencja trwa co najmniej pół roku! Anna i ja założyłyśmy w zeszłym tygodniu fanklub Backstreet Boys. Przyjadą tu dopiero w przyszłym roku.

- Julia! - jęknęła Cora. - Jeszcze jakieś problemy?

- O tak! - zaperzyłam się, a w moim głosie zabrzmiało już kilka drżących nutek, które zwiastowały płacz. - Beze mnie nasza drużyna pływacka nigdy nie zdobędzie pucharu. W ogródku szkolnym mam krzaczek pomidora. Wiecie, ile taki pomidor potrzebuje czasu, żeby urosnąć?

I straciłam nad sobą panowanie. Rozryczałam się.

- Julio, zajączku, wszyscy musimy zawierać kompromisy - powiedziała mama, próbując wziąć mnie w ramiona.

Wyrwałam się jej i odskoczyłam od stołu.

- A co to ma wspólnego z kompromisami? - wrzasnęłam, a mój głos przeszedł w cieniutki pisk. - Tu chodzi o moje życie. Ale to, jak mi się zdaje, nikogo nie interesuje!

Wybiegłam z kuchni do swojego pokoju, trzasnęłam drzwiami, otworzyłam, chwyciłam telefon, trzasnęłam drzwiami ponownie i przekreśliłam klucz dwa razy. Ręce

drżały mi jak szalone, kiedy wybierałam numer Anny. „Błagam, bądź w domu! Błagam!”, myślałam zrozpaczona. Odebrała.

- Anna! - zabalgotałam do słuchawki. - Booo... eee... mooo...

- Julia, nie rozumiem ani słowa! - zawołała zaniepokojona. - Co się dzieje? Najpierw się uspokój!

Pozbierałam się trochę i wydmuchałam mocno nos w chusteczkę.

- Moi okrutni rodzice zabierają mnie do Kolonii! - wyjąkałam.

- Co?! - krzyknęła Anna z paniką w głosie.

- Przeprowadzamy się!

Anna natychmiast się rozbeczała.

- To straszne!

Po pięciu minutach odchrząknęła głośno i głęboko odetchnęła.

- Musimy myśleć praktycznie. Zmień głos, zadzwoń do tej nowej firmy i powiedz, że jesteś sekretarką twojego taty. Masz do przekazania przykrą wiadomość, że on nie może jednak przyjąć tego stanowiska.

- Świetny pomysł! - obruszyłam się, zachrypnięta od płaczu. - Przecież to się od razu wyda. Kto mi uwierzy?

- No to co zrobisz? - spytała.

- Po prostu ucieknę z domu!

- Zwariowałaś? Dokąd?

- Jeśli będzie trzeba, schowam się w szkolnej piwnicy za starymi mapami. Mogłabym stamtąd wychodzić przedpołudniami, jak gdyby nigdy nic. Będziesz mi musiała organizować jedzenie i picie.

- Rewelacyjny pomysł! - sprzeciwiła się teraz Anna. - I na pewno się nie wyda! Myślisz, że twoi rodzice po prostu spakują rzeczy i będą mieli w nosie fakt, że zniknęłaś?

Miała rację. Moja propozycja była tak samo głupia jak jej. Ale jak w takiej sytuacji mogło mi przyjść do głowy coś rozsądnego?

- Mam! - ucieszyłam się. - Zadzwonię do Amnesty International. Przecież oni angażują się w działania przeciwko uciskowi ludzi!

- Możesz spróbować! - stwierdziła, chociaż wyczułam w jej głosie, że nie daje mi zbyt dużych szans.

Numer do Amnesty International był wciąż zajęty. Dopiero za dwunastym razem ktoś odebrał.

- Amnesty International, Pieper, słucham - odezwał się kobiecy głos.

Streściłam jej całe swoje nieszczęście.

- Przecież pomagacie potrzebującym ludziom, prawda? - spytałam na koniec z nadzieją.

- To nie jest śmieszne! - fuknęła pani Pieper z oburzeniem. - Nie wolno żartować z poważnych spraw!

- Tak, ale... - wyjąkałam zaskoczona, jednak pani Pieper już odłożyła słuchawkę. I kto to zrozumie? Najwyraźniej Amnesty International uważała za całkiem normalny fakt, że rodzice wyrywają dzieci ze środowiska, w którym wyrastały, naruszając przy tym w niewybaczalny sposób ich ludzką godność. Wpatrywałam się zniechęcona w telefon i doszłam do wniosku, że nienawidzę wszystkich dorosłych.

W ciągu następnych tygodni układałyśmy z Anną mnóstwo planów, aby zmienić mój los. Ale los nie dał się zmienić. Ukaralam rodziców absolutnym milczeniem. Nie powinni się ludzić, że kiedykolwiek wybaczę im ten cios. Zdecydowali: przeprowadzka w zamian za miłość ich córki. Musiałam podporządkować się ich decyzji, ale nikt nie mógł mnie zmusić, żebym kiedykolwiek odezwała się do nich choćby słowem.

Mama przez cały czas patrzyła na mnie współczująco.

- Cierpi i nikogo do siebie nie dopuszcza - usłyszałam przypadkiem któregoś wieczora jej rozmowę z tatą.

- Przechodzi skomplikowany okres dojrzewania - odparł tato. - Wiem, że to dla niej trudne, ale musi się z tym uporać.

Oboje mogli sobie schować współczucie do kieszeni. Dojrzewanie. Ciągłe próbowali wszystko tłumaczyć dojrzewaniem. A to nie ono było winne mojego nieszczęścia, tylko rodzice we własnych osobach.

Ostatnie dni w szkole były straszne. Wciąż miałam napady płaczu w środku lekcji. Szczególnie ciężko było wtedy, kiedy Joachim, mój zastępca, przejmował funkcję przewodniczącego klasy.

- Jako nowy oficjalny przewodniczący tej klasy przeprowadzę kilka zmian - wygłosił, strugając waźniaka, i poprawił swój drobnomieszczański przedziałek w tłustych włosach. - Odwołuję wyznaczoną przez moją poprzedniczkę imprezę na cześć Backstreet Boys i składam wniosek o zorganizowanie turnieju piłki nożnej o puchar szkoły.

Temu gadowi wydawało się, że jest kanclerzem Niemiec! Nie miałam jednak sił, żeby się bronić. I tak nie załapię się już ani na imprezę na cześć Backstreet Boys, ani na turniej piłki nożnej.

- Przy najbliższej okazji przestanie być przewodniczącym - pocieszyła mnie Anna.

Na dużej przerwie zaciągnęłam ją do szkolnego ogródka i pokazałam krzaczek pomidora.

- Dbaj o niego, jak mnie już nie będzie.

- Będę się nim opiekować, jakby był mój własny - obiecała i natychmiast musiałyśmy znów zacząć ryczeć.

- Niniejszym rozwiązuję fanklub Backstreet Boys. Bez ciebie to nie ma już sensu - dodała Anna przez łzy, gwałtownie mnie przytuliła i wypuściła z ramion dopiero wtedy, kiedy moja koszulka była mokra od jej łez, a jej koszulka - mokra od moich.

- Julia, stoisz na drodze! - Tym razem była to mama, ale i tak się liczyło. Siedemnasty raz. W tej rodzinie byłam traktowana jak mebel niesiony przez tragarzy.

Może wystarczy tego zawadzania, osiemnaście razy to już za dużo, pomyślałam i postanowiłam przydać się na coś. Chwyciłam karton stojący najbliżej. Był tak okropnie ciężki, że ledwie zdołałam go unieść. I nagle poczułam w majtkach coś wilgotnego i ciepłego.

„No, super, Julia!”, pomyślałam. „Zamieniasz się znów w niemowlaka i sikasz w majtki?”

Pognałam do ubikacji. Ups! Ujrzałam wielką plamę ciemnej krwi.

„Nie stałam się niemowlakiem, tylko kobietą!”, wyciągnęłam wniosek. Mam się cieszyć czy płakać? Nie umiałam rozstrzygnąć sama. Z powodu tego absolutnie wyjątkowego wydarzenia postanowiłam złamać ślub milczenia wobec rodziców.

- Mamo, już dostałam! Mam! - szepnęłam mamie z boku.

Rzuciła w moim kierunku przelotne spojrzenie. Chyba się w ogóle nie zdziwiła, że znów przemówiłam.

- A czegoś szukałaś? No to fajnie, że znalazłaś - odparła bez związku.

- Nie! Niczego nie szukałam! I niczego nie znalazłam! Dostałam okres! - starałam się wyjaśnić, o co mi właściwie chodziło.

Mama potrzebowała chwili, aby zrozumieć tę informację, a potem podrapała się energicznie po głowie.

- No, no. Hm. Podpaski są w kartonie z rzeczami z łazienki, zapakowaliśmy go już do samochodu, gdzieś z tyłu - powiedziała. Potem wyjęła z kieszeni dzinsów pogniecioną paczkę chusteczek higienicznych i podała mi ją. - Włóż to sobie w majteczki, zajączku, dobrze?

Zaniemówiłam! To wszystko? Nadejście najważniejszego dnia w moim życiu kobiety zostało skwitowane paczką chusteczek? Kiedy półtora roku temu Cora dostała pierwszą miesiączkę, w naszej rodzinie wprowadzono stan wyjątkowy. Tato skradał się na palcach, podekscytowana mama biegała po domu z zestawem co najmniej dziesięciu rodzajów

podpasek, a potem zamknęła się na kilka godzin z Corą w jej pokoju i prowadziła z nią „kobiece rozmowy”. Nie było obiadu, za to miałam sporo kłopotów, kiedy podczas kolacji spytałam siostrę:

- A przynajmniej bolało cię porządnie?

„Mama jest niepoczytalna pod wpływem stresu związanego z przeprowadzką”, powiedziałam do siebie i postanowiłam zwrócić się do taty. Akurat rozpaczliwie próbowałam utrzymać równowagę pod ciężarem sekretarzyka mamy.

- Tato! Jestem już kobietą! - oznajmiłam, aby uniknąć nieporozumień związanych z tym tematem.

Tato uśmiechnął się z przymusem.

- To pięknie, Julia. A tak w ogóle to stoisz mi na drodze!

Osiemnasty raz. W tym momencie przysięgłam sobie: kiedy skończę osiemnaście lat, spakuję swoje rzeczy i natychmiast tutaj wrócę, aby nie mieć nic wspólnego z tą okropną rodziną.

- Andreas, zatrzymaj się, tam jest drogeria! - zawołała mama, kiedy po ponad pięciu godzinach dojechaliśmy wreszcie do Kolonii, i wysiadła z samochodu, żeby kupić mi paczkę podpasek. Przycisnęłam nos do szyby, próbując wyrobić sobie pierwsze zdanie na temat nowego miasta. Szare i brzydkie. Nie lubiłam go!

Nowego mieszkania też nie lubiłam. Było wprawdzie większe od starego, z dość ładnym tarasem na dachu, ale miało zdecydowaną wadę: do jednego z pokoi przeznaczonych dla mnie i Cory można się było dostać, przechodząc przez drugi. W żaden inny sposób.

Podczas gdy zakładałam w łazience pierwszą w życiu podpaszkę, Cora, jakby to było oczywiste, zagarnęła tylny pokój, siadając na podłodze po turecku.

Kiedy tam weszłam, z wściekłości poczułam ściskanie w gardle.

- Co to ma znaczyć? Kto powiedział, że ty dostaniesz ten pokój? - krzyknęłam.

- Odczep się. Jest mój! - warknęła Cora.

O nie, nie poddam się tak łatwo! Co mogłam poradzić na to, że dostałam pierwszy okres i musiałam zakładać tę głupią podpaszkę? I dlatego nie mogłam zająć pokoju jako pierwsza?

- Mamo!!! - ryknęłam, a ponieważ sprawa była naprawdę bardzo ważna, wrzasnęłam jeszcze: - Tato!!!

Rodzice wpadli do pokoju.

- Skaleczyłaś się? - spytał tato zaniepokojony.

- Nie. Wszystko OK. Ale Cora zagarnęła tylny pokój dla siebie. A ja też go chcę!

Mama i tato wymienili spojrzenie pod tytułem: „Czy nie mamy tysiąca innych spraw na głowie?“, oboje wzruszyli ramionami i usiedli obok nas na podłodze po turecku.

- Narada wojenna - oświadczył tato.

- Potrzebuję intymności! - natychmiast uniosła się Cora. - Mam czternaście lat! A Julia dopiero dwanaście. To dziecko. Dzieci nie potrzebują jeszcze prywatności!

Nie mieściło mi się to w głowie. Co sobie wyobrażała ta głupia krowa? Prywatność była mi potrzebna, a już na pewno od kiedy dostałam dziś rano pierwszą miesiączkę.

- Ja też jestem kobietą! - zawołałam.

To zdanie jakby rozbawiło całe towarzystwo. Tato wyszczerzył zęby, mama ledwie powstrzymywała się od śmiechu, a Cora roześmiała się w głos. Czy nikt nie traktował mnie tu poważnie? Czy nadawałam się tylko do tego, aby rodzina mogła zabawiać się moim kosztem?

- Nienawidzę was! - wykrzyknęłam. - Wszystkich! - I wybiegłam wściekła z pokoju.

Chciałam trzasnąć drzwiami i zamknąć się z telefonem, ale zapomniałam, że jak na razie nie było tu ani drzwi do pokoju, ani telefonu, z którego mogłabym zadzwonić do Anny.

Ogarnięta furią wyleciałam więc z mieszkania, trzaskając drzwiami wejściowymi.

Biegłam, nie mając pojęcia, dokąd. Nie orientowałam się w okolicy i nie znałam też nikogo, do kogo mogłabym uciec. Czulałam się podle, błędząc z ciekącym nosem, w koszulce mokrej od łez, wciąż kogoś potrącając. Czy w tym przeklętym mieście nie było miejsca, w którym można by mieć choć trochę intymności?

Na następnym skrzyżowaniu wypatrzyłam mały park. Wbiegłam do niego i wyczerpana klapnęłam na ławkę. Chciałam być sama.

Podciągnęłam nogi i ukryłam twarz między kolanami. Przez głowę przemykały mi beładne myśli. Czy miałam po prostu wsiąść do pociągu i wracać? Ale wszystkie moje oszczędności były na książeczkę, która leżała gdzieś w kartonie. A pudło stało w tym głupim nowym mieszkaniu, do którego nie chciałam wracać!

Kiedy kłujący ból przeszył mi skroń, przestałam szlochać. Nagle coś uderzyło mnie w głowę. Ale co?

Zastanawiałam się jeszcze, czy przypadkiem sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam, gdy w moją głowę trafił kolejny pocisk. Nie wierzyłam własnym oczom. To był cukierek. Wyprostowałam się gwałtownie, popatrzyłam w stronę, z której padł strzał, i ujrzałam jakąś postać kryjącą się między gałęziami. Zerwałam się z ławki jak ukąszona przez tarantulę i rzuciłam się w kierunku krzaków. Siedział w nich jakiś chłopak - piegowaty blondyn - i uśmiechał się głupkowato. Gdy się zbliżyłam, z głośnym śmiechem rzucił się do ucieczki.

„No, poczekaj!”, pomyślałam i zaczęłam go gonić. Biegłam co sił w nogach, ale w

porównaniu z tym draniem nie miałam najmniejszych szans. Był piekielnie szybki. „Julia, wytrzymaj!”, dopingowałam sama siebie. Tyle osób potraktowało mnie dziś per noga. Nie chciałam, żeby temu strzelającemu cukierkami łobuzowi upiekła się zasłużona kara.

Nagle chłopak zniknął w bramie, a mnie złapała straszliwa kolka. Byłam właściwie zadowolona, że okoliczności zmusiły mnie do zaprzestania pościgu właśnie teraz. Na trzecim piętrze domu, do którego wbiegł chłopak, otwarło się okno.

- Hej, ty, rycz sobie dalej! - zakpił, śmiejąc się do rozpuku.

Pokazałam mu środkowy palec i wydałam z siebie odgłos, jakiego nie powstydziliby się żaden dzik. „Co za obrzydliwiec”, pomyślałam i odwróciłam się na pięcie, nie zaszczycając go spojrzeniem. Miałam nadzieję, że już nigdy go nie spotkam.

Nie miałam pojęcia, gdzie się znalazłam, i na powrót do domu potrzebowałam całej godziny. Każdy człowiek, którego pytałam o drogę, wysyłał mnie w kierunku przeciwnym niż poprzednik. Czy wszyscy kolończycy mieli nie po kolei w głowie?

Kiedy wreszcie stanęłam pod domem, w którym miałam teraz mieszkać, zrobiło się już ciemno.

Tato wybiegł na ulicę i chwycił mnie mocno w ramiona.

- Jesteś! - zawołał z ulgą w głosie. - Bardzo się o ciebie martwiliśmy!

Przytuliłam się mocno do niego i natychmiast zaczęłam ryczeć jak bóbr, chociaż wcale tego nie chciałam.

Tato pogłaskał mnie po głowie.

- Jest aż tak źle? - spytał ostrożnie.

- Nie podoba mi się tu! - wyrzuciłam z siebie.

- Chcę z powrotem do domu!

- Tu jest teraz twój dom - oznajmił łagodnie tato.

- Przykro mi, że tak zdecydowałem, nie biorąc pod uwagę twojej opinii. To było podłe z mojej strony, wiem.

Zaniosłam się głośnym szlochem, ledwie mogąc wydusić z siebie:

- Okropnie podłe!

Tato wziął mnie na barana, tak jak kiedyś, i wniósł po schodach na górę, aż do mojego pokoju.

Niestety, mój pokój to był ten pierwszy, przechodni. Najwidoczniej Cora wykorzystała moją nieobecność, aby przekabacić rodziców na swoją stronę.

Tato położył mnie do łóżka; kołdra i poduszka były powleczone w moje ulubione poszewki.

- Za rok się zamienicie - pocieszył mnie. - Wtedy ty przeniesiesz się do tamtego pokoju.

Byłam za bardzo zmęczona, aby zauważyć, że obietnice z gatunku „za rok” nigdy nie są dotrzymywane. „Za rok będziesz mogła siedzieć w samochodzie zawsze na przednim siedzeniu” też się nigdy nie sprawdziła.

Wcisnęłam nos w poduszkę i zapadłam w tępy sen.



BŁĘKITNOOKI LEŚNY STWÓR

- Pobudka! - zaszczębiotała mama. - Dzisiaj jest pierwszy dzień w nowej szkole!

Naciągnęłam kołdrę na głowę i solidnie, trzy razy przełknęłam ślinę, aby pozbyć się kluchy, która tkwiła mi w gardle.

- Jesteś zdenerwowana? - spytała mama.

- Nieee, dlaczego? - rzuciłam spod kołdry, siląc się na luz.

Było to kłamstwo. Oczywiście, że się denerwowałam. Nie tylko się denerwowałam - bałam się panicznie. Nikogo nie znałam w tej nowej szkole. I nie miałam pojęcia, co mnie tam czeka.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył tato, zatrzymując samochód przed ogromnym budynkiem. Klucha z gardła ni stąd, ni zowąd zsunęła się do żołądka, uciskając wszystkie wnętrzności niczym betonowy kloc.

- Wygląda miło - stwierdził tato zachęcająco.

Miło to ta buda wcale nie wyglądała. Przez ogromną bramę wejściową wlewał się tłum głośno ze sobą rozmawiających dziewczyn i chłopaków. Każdy tu znał każdego. Tylko ja nie.

Cora wysiadła z samochodu bez wahania i dumnym krokiem, jakby nigdy w życiu nie robiła niczego innego, ruszyła w stronę wejścia. Trzymała wysoko podniesioną głowę i uśmiechała się do tej ludzkiej masy. Jak ona to robiła? Zostałam w samochodzie i zapadłam się głęboko w siedzenie. Może tato nie zauważy i pojedzie ze mną na podziemny parking swojej nowej pracy? Ale zauważył. Poznałam po jego oczach, że doskonale wiedział, co się ze mną działo.

- Mam wejść z tobą, aniołku? - spytał.

„Tak! Tak! TAK!!!”, krzychało moje serce. Ale głowa wiedziała, że nie mogę wejść do nowej klasy, trzymając za rękę tatę, jeżeli nie chcę zaraz pierwszego dnia zepsuć sobie startu najgłupszym z możliwych występem.

- Nie jestem już przecież dzieckiem! - odparłam szybko.

Tato ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Nie, skarbie. Jesteś teraz kobietą, prawda? Rzuciłam mu się na szyję. Mam nadzieję, że nikt tego nie widział!

- Na pewno będzie super! - zawołał jeszcze za mną. „Oby!”, pomyślałam i na miękkich nogach, z mocno bijącym sercem, ruszyłam w stronę szkolnej bramy.

- To jest Juliane Seeger! - przedstawiła mnie pani Ammerung, moja nowa wychowawczyni. - Juliane, opowiedz, skąd przyjechałaś.

Chętnie dałabym jej do zrozumienia, że potwornie zaschło mi w gardle i koniecznie muszę napić się wody, ale nie odważyłam się. Zamiast tego zastanawiałam się gorączkowo, co powinnam powiedzieć. Przychodziły mi do głowy same bezsensowne zdania. Przyjechałam z południa Niemiec i bardzo was proszę, żebyście się na mnie tak nie gapili. Byłam kiedyś szefową fanklubu Backstreet Boys i zaraz zemdleję. Ale nie mogłam powiedzieć tego głośno.

Po prostu milczałam. Jak przez mgłę słyszałam chichot kilkorga uczniów.

Pani Ammerung odczekała kilka lat - przez ten czas pojawiły mi się pierwsze zmarszczki i siwe włosy - i zaśmiała się sztucznie.

- Każdy początek jest trudny. Już niedługo się rozkręcisz, Juliane.

Poleciła mi usiąść na wolnym miejscu w przedostatnim rzędzie. Widziałam wszystko trochę niewyraźnie, więc byłam zadowolona, że udało mi się dojść do swojej ławki bez potknięcia i upadku. Wciąż szumiało mi w głowie. Ale koszmar! Jak mogłam się tak głupio zachować? Teraz na pewno wszyscy myślą, że jestem nie całkiem normalna. Albo głupia. Albo głuchoniema.

Zatopiona w czarnych myślach usłyszałam jakiś dźwięk. Ktoś coś do mnie syczał. Rozejrzałam się niepewnie po sąsiadach i o mały włos nie spadłam z krzesła. Obok siedział nie kto inny jak ten wstrętny typ, który pierwszego dnia mojego pobytu w Kolonii obrzucił mnie cukierkami.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- No, rycz! - dociął mi.

- Pocałuj mnie w nos! - prychnęłam, zebrałam wszystkie siły i zrobiłam najbardziej opanowaną minę, na jaką mnie było stać.

„Tylko nie płacz”, powtarzałam sobie w myślach. Moje gruczoły łzowe były posłuszne. Nie rozplakałam się.

Nie rozplakałam się również wtedy, kiedy stwierdziłam, że z historii tutaj przerabiają zupełnie inny wiek niż w mojej starej szkole. Nie rozplakałam się, kiedy sąsiad, który poza tym, że był wstrętnym typkiem i nazywał się Alexander, przemycił do mojej teczki zgniłe jabłko. Sięgnęłam do niej, przestraszyłam się prawie na śmierć i pisnęłam głośno, przez co ściągnęłam na siebie mnóstwo skonsternowanych spojrzeń. I nie rozplakałam się również wtedy, gdy otworzyłam nową książkę do matmy i odniosłam wrażenie, że wylądowałam w Chinach, nie znając tamtejszych liter. Byłam dumna ze swojego opanowania.

Podczas dużej przerwy znów miałam nad sobą pełną kontrolę. „No, Julia”, pomyślałam, „napraw pierwsze fatalne wrażenie, zachowując się jak normalny człowiek”. Nie zwlekając, przyłączyłam się do grupki dziewczyn z nowej klasy.

- Cześć! - powiedziałam. - Właściwie mam na imię Julia, nie Juliane.

Jedna z nich, Helen, jak zapamiętałam z lekcji, zabrała głos:

- Dlaczego nie wydusiłaś z siebie ani słowa? - Byłam... eee... strasznie zdenerwowana - przyznałam.

Helen pogardliwie uniosła brwi.

- Jakiej muzyki słuchasz?

- Uwielbiam Backstreet Boys - odpowiedziałam szybko. Byłam zadowolona, że Helen poruszyła temat, w którym czułam się najlepiej.

Tymczasem ona uniosła brwi prawie do nasady włosów, odkaszlnęła sztucznie, napiła się z namaszczeniem kakao i wyuczonym gestem odrzuciła na plecy swoje długie blond włosy.

- Backstreet Boys są kompletnie przestarzali - wygłosiła w końcu, skubiąc ze znużeniem nitkę swetra.

- Właśnie, Backstreet Boys są przecież zupełnie przedwczorajsi! - potwierdziła dziewczyna, której wzrost oszacowałam na prawie dwa metry.

Pozostałe dziewczyny aż do tej chwili milczały i słuchając Helen, robiły wielkie oczy. Teraz w grupę wstąpiło życie.

- Kto jeszcze słucha Backstreet Boys? - roześmiała się szatynka z kręconymi włosami i węgami na nosie.

- Backstreet Dziadki! - dorzuciła czwarta, która miała krótko obgryzione paznokcie. Pozostałe nagrodziły ją brawami za to kretyńskie powiedzonko.

- Nieźle, Ann - Sophie! - pochwaliła ją protekcjonalnie Helen.

„Spoko, to nic, Julia!”, pomyślałam.

- A nie uważacie, że Leonardo DiCaprio w najnowszym „Bravo” wygląda jak spuchnięty mops? - rzuciłam, aby zarobić punkty.

Ann - Sophie ze strachu upuściła kakao. Oczy Helen zrobiły się wąskie jak szparki.

- Leonardo DiCaprio jest największy - fuknęła. - Zapamiętaj to sobie, wieśniaro!

Helen odwróciła się do mnie tyłem i jak na komendę pozostałe dziewczyny otoczyły ją wianuszkami, z którego jednoznacznie zostałam wykluczona. No, super. Potrzebowałam zaledwie niecałych dwóch godzin, żeby się narazić. Jedno było jasne: Helen mnie nie cierpiała, a skoro ona mnie nie cierpiała, to i reszta dziewczyn też. „Tylko się teraz nie rozplącz”,

powtarzałam sobie, „wytrzymaj!”.

Wytrzymałam. Ale kiedy po tym strasznym pierwszym dniu w szkole klapnęłam na krzesło jak mokry worek, zdawało mi się, że nie przeprowadziłam się po prostu do innego miasta, tylko zostałam przemocą wyrwana ze swojej galaktyki i przeniesiona w inny układ planetarny. Byłam kosmitką. Mówiłam innym językiem, miałam inne uczucia i inaczej wyglądałam. Zielona i oślizgła.

- Było absolutnie super! Bibbi, Tini, Sonni i Lena są fantastyczne i spytały mnie, czy chcę się z nimi przyjaźnić. Mają taki klub, spotykają się raz w tygodniu, piją razem herbatę i plotkują - opowiadała Cora.

Jeśli ja byłam oślizgłą kosmitką, to moja siostra była kameleonem umiejącym odnaleźć się w każdej cywilizacji. Nienawidziłam jej za to.

- To świetnie! - ucieszyła się mama z triumfalnego wejścia Cory do nowej klasy. - A jak u ciebie, Julio?

Znów zaschło mi w gardle, tak samo jak rano, kiedy miałam przedstawić się w klasie.

- Fajnie! - stwierdziłam krótko. - Wszyscy są strasznie mili.

Potem szybko pochylałam głowę nad pizzą, aby nikt nie mógł wyczytać w moich oczach kłamstwa. Nie umiałabym powstrzymać się od płaczu, gdyby mama patrzyła teraz na mnie tym swoim współczującym wzrokiem.

Odtąd podczas przerw wędrowałam sama po dziedzińcu szkoły i zachowywałam się tak, jakby mnie to nic nie obchodziło. Zawsze, gdy zbliżałam się do Helen i jej przyjaciółek, one nachylały ku sobie głowy i dawały mi do zrozumienia, że ich grupka była zamkniętym towarzystwem.

Ku mojej udręce mama pytała mnie z podziwu godną regularnością, co po południu, jak było w szkole. I za każdym razem ją okłamywałam. Po prostu nie chciałam współczucia. Nie chciałam być dzieckiem specjalnej troski. Nie chciałam, żeby Corze wszystko się udawało, a mnie nie. Nie chciałam, żeby mama patrzyła na mnie tym swoim zranionym spojrzeniem: „Julio, jesteś samotna?”. Byłam samotna. Być może byłam nawet najbardziej osamotnioną osobą na świecie. Ale bolałoby mnie to jeszcze bardziej, gdyby dowiedzieli się o tym mama, tato, Cora i cała ludzkość. A najbardziej chciałam uniknąć sytuacji, w której mama w dobrej wierze, ale z katastrofalnym skutkiem, zaczęłaby wtrącać się w moje sprawy. Spodziewałam się, że poszłaby do szkoły, stanęła przed klasą i powiedziała: „Bądźcie trochę miłsi dla mojej małej Julii!”. Jeszcze tego by mi brakowało.

Wymyślałam więc każdego dnia przyjemną historyjkę. Opowiadałam na przykład, że razem z Helen i kilkoma innymi dziewczynami planujemy założyć fanklub Backstreet Boys.

Powiedziałam nawet, że siedzę w ławce z bardzo miłym chłopcem. Było to zdecydowanie największe kłamstwo, które wcisnęłam mamie, ponieważ ten wstrętny typ, Alexander, nie omijał żadnej okazji, aby ośmieszyć mnie przed klasą i przypomnieć, że jestem beksą.

W następny poniedziałek za będącą zawsze w dobrym humorze panią Ammerung weszła do klasy dziewczyna, której jeszcze nigdy nie widziałam i która była przynajmniej o głowę wyższa od innych, nie licząc dwumetrowej Pauline. Imponujące zjawisko. Najwyraźniej nie uczesała rano czarnych włosów. Można było bez problemu rozpoznać, na którym boku spała. Miała też czarne jak smoła, zrosnięte brwi. Pod nimi błyszcząły najładniejsze i najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam.

- To jest Matylda - powiedziała wychowawczynie. Kilkoro uczniów zachichotało. To było naprawdę osobliwe imię. Przyjaciółka mojej babci nazywała się Matylda. Nigdy bym nie pomyślała, że dziewczyny w moim wieku mogą nosić takie imię. Z drugiej strony jakoś do niej pasowało. Miała na sobie kostium, który był niemodny prawdopodobnie już w czasach młodości mojej babci. Żakiet i spodnie, wściekle zielone, z grubej wełny.

Pani Ammerung wesoło poprosiła Matyldę, aby opowiedziała, skąd przyjechała. Natychmiast zaczęłam jej współczuć. Na pewno miała teraz sucho w gardle i nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Ale Matylda znakomicie umiała wydobyć głos. I wszystko można by o nim powiedzieć, tylko nie to, że był cichy.

- Nazywam się Matylda Sławitzki i przyjechałam prosto z Hamburga, przedtem ze Stuttgartu, jeszcze przedtem z Paryża, jeszcze, jeszcze wcześniej z Bonn, a jeszcze poprzednio z Londynu, przedtem z...

Matylda wymieniła dwanaście miast. Byłam pod wrażeniem. Ze swoją jedną przeprowadzką poczułam się jak najżałośniejsze stworzenie na świecie. Jak musiała się czuć po dwunastym wykorzenieniu?

- Proponuję, żebyś wybrała sobie miejsce, na którym chcesz siedzieć - powiedziała wychowawczynie z wyraźną ulgą, że Matylda zakończyła wreszcie swój wykład.

Błękitne oczy nowej zwężyły się w wąskie szparki, które z absolutnym spokojem zaczęły wędrować po rzędach ławek. Zignorowała wszystkie wolne miejsca i wreszcie wskazała palcem na Alexandra.

- Tam chcę siedzieć - oświadczyła.

- Ale tam nie ma wolnego miejsca - zauważyła pani Ammerung z lekką irytacją.

- A czy to taki wielki problem? - spytała Matylda grzecznie.

- Eee... w sumie nie - mruknęła wychowawczynie i zmarszczyła czoło. Spojrzała na

mnie, potem na Alexandra i wreszcie się roz pogodziła.

- Może to i dobry pomysł, żeby obydwie nowe siedziały razem.

Przyklasnęłam jej w duchu. Wstrętny Alexander został natychmiast wysłany na inne miejsce.

- Kurczę! Ale wymyśliła! - zrzędził.

Dlaczego tak się buntował przed przesadzeniem? Przecież nienawidził mnie jak trędowatej. Prawdopodobnie wnerwiał się, ponieważ nie będzie już mógł ciągle wkładać mi do torby obrzydliwych rzeczy, wiązać mi pod ławką sznurowadeł i bazgrać mi w zeszytach: *Beksa*.

Matylda hałaśliwie zajęła miejsce obok i wyciągnęła do mnie rękę.

- Cześć, jestem Matylda - przedstawiła się.

- Cześć, Julia - odparłam.

Ledwie nasze dłonie się dotknęły, już wiedziałam, że strasznie ją polubiłam.

W czasie pierwszych dwóch lekcji Matylda wciąż się do mnie uśmiechała. Na trzeciej ja też zaczęłam się uśmiechać, a zanim rozległ się dzwonek na pierwszą długą przerwę, Matylda zdążyła się do mnie uśmiechnąć szesnaście razy. Stwierdziłam, że to pewny znak: ona też uznała mnie za sympatyczną.

- Naprawdę, to gigantyczne zbiorowisko skwaszonych kóz! - oznajmiła Matylda na długiej przerwie i oparła się o mur obok mnie.

Nie chciało pomieścić mi się w głowie, że tak szybko doszła do tego wniosku. Przytaknęłam z zachwytem i opowiedziałam jej o męczarniach, jakich doświadczyłam tu od momentu przyjazdu, skarżąc się gorzko na Helen.

- Ona jest strasznie arogancka i totalnie wredna! Matylda roześmiała się.

- Takie kozy jak Helen dodają przecież smaku, Julio. Bez nich byłoby śmiertelnie nudno.

Nigdy nie patrzyłam na to w ten sposób. Ale kiedy to sobie przemyślałam, bardzo mi się spodobał ten punkt widzenia.

- Nie uważasz, że te dwie nowe świetnie do siebie pasują? Obydwie mają w sobie coś... eee... jak by to powiedzieć... coś wieśniackiego! - ogłosiła Helen tak głośno, że też musiałyśmy to usłyszeć.

W klasie natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wsłuchując się dokładniej w tę ciszę, można było chyba usłyszeć ciche „chlup!”, spowodowane przez kroplę przelewającą wreszcie moją czarę goryczy.

- Słyszałaś, Matyldo, co właśnie powiedziała panna Elemele? - wypaliłam.

- Nie, moja droga, wydawało mi się wprawdzie, że coś mówi, ale prawdopodobnie był to tylko bąk, który wyrwał się z jej ściśniętej pupy.

Wydałam cichy okrzyk radości.

- Słyszałaś, kochana, że Leonardo DiCaprio podczas urlopu kapał się w Atlantyku i że później przez długie tygodnie turyści skarżyli się na oka tłuszczu pływające w wodzie? - wyrzuciłam z siebie.

Kilku chłopaków zaczęło chichotać, dziewczyny gapily się skonsternowane w podłogę, a Helen rozdziawiła buzię, złapała gwałtownie powietrze, a potem zamknęła ją, nie pisnąwszy ani słowa.

Kiedy tego dnia wróciłam do domu, nie musiałam okłamywać mamy.

- Jak minął dzień, Julia? - rzuciła jak zawsze.

- Superfantastycznie! Ekstra! - odpowiedziałam z ogromnym przekonaniem.

- Widziałam cię na przerwie. Kim był ten leśny stwór z którym wystawałaś? - spytała Cora z wyrazem obrzydzenia na twarzy. - Cora! - upomniała ją mama.

- Nie szkodzi, mamó - odparłam niedbale. Potem nachyliłam się do siostry. - Wiesz co, Cora? Takie kozy jak ty dodają smaku. Bez was byłoby śmiertelnie nudno!

DZIWNE UCZUCIE W BRZUCHU

Szybko stało się zwyczajem, że Matylda niemal codziennie jadła u nas obiad. Przeważnie zostawała nawet do kolacji i coraz częściej nocowała. Mama i tato polubili ją, nawet Corze, która początkowo nazywała ją „leśnym stworem”, przypadło do gustu dziwaczne zachowanie Matyldy.

- Coro, moja kochana, czy byłabyś tak nieskończenie dobra i podałaś mi wędlinę? - poprosiła Matylda podczas kolacji.

- Ależ z największą przyjemnością, amatorko wędlin - odparła Cora.

- Mam nadzieję, że smakuje łaskawej pani - dorzucił tato ze śmiechem. Mama spoglądała na każdego po kolei i była naprawdę zadowolona.

Z radością przeżuwałam swój chleb i znów musiałam stwierdzić, że Matylda zdaje się czuć u mnie jak u siebie w domu. Natomiast ja jeszcze nie poznałam jej rodziców, co więcej, nie udało mi się nakłonić mojej przyjaciółki nawet do opowiedzenia o nich. Tak bardzo chciałam wiedzieć, czy jej rodzice zwracali się do siebie per „najdroższa małżonko” i „kochany mężu” i czy też mieli kudłate czarne włosy. W końcu przestałam ją o to pytać. Matylda nie miała ochoty o nich mówić. A kiedy Matylda nie miała na coś ochoty, to każda próba zmiany jej zdania spełzała na niczym. Dość szybko to zrozumiałam.

- Pizza z tuńczykiem i kaparami - westchnęła Matylda na dużej przerwie i mlasnęła głośno językiem. - Julio, mam taką chętkę na pizzę, że ledwie mogę to wyrazić słowami.

Myśli Matyldy bardzo często krążyły wokół smakołyków, które serwowała nam na obiad moja mama.

- Dam sobie uciąć prawą rękę za spaghetti carbonara - jęknęłam i aż pociekła mi ślinka na myśl o tym, jak będę wciągać długie nitki spaghetti. Byłam głęboko zatopiona w swoich kulinarnych fantazjach, kiedy nagle coś zimnego i mokrego spadło mi na twarz. Piekielnie się wystraszyłam.

Alexander, uzbrojony w plastikową łyżeczkę, stał w odległości dwóch metrów ode mnie i z ohydny uśmiechem na twarzy rzucał kolejne porcje jogurtu w moją stronę.

- Poczekaj, ty gorylu! - krzyknęłam i chciałam się na niego rzucić. Alexander jednak uskoczył tak zwinnie, że się potknęłam i wyłożyłam jak długa.

- No, rycz! - zarżał.

Byłam zbyt zamroczone, żeby coś odpowiedzieć, zobaczyłam tylko wyraźnie, jak Alexander ucieka, a Matylda rzuca się w pościg za nim. Jak przez mgłę dobiegł mnie głupi

śmiej Helen. Jasne, że cieszyła się z mojego nieszczęścia. Leżałam jak foka na mieliźnie, w błocie i cała pochlapana jogurtem, a Helen się śmiała. Nienawidziłam jej.

I w tym momencie ktoś chwycił mnie pod ramiona i postawił z powrotem na nogi.

- Wszystko OK? - spytał głos, na dźwięk którego aktor dubbingujący Brada Pitta zaniemówiłby z zazdrości. Skinęłam głową, chociaż wcale tego jeszcze nie sprawdziłam.

I tak szybko, jak się pojawił, głos zniknął wraz z należącym do niego ciałem. A ciało to należało do chłopaka, którego - mogłabym przysiąc - jeszcze nigdy nie widziałam i który - też mogłabym przysiąc - wyglądał lepiej niż faceci z Backstreet Boys razem wzięci. Wyglądał nawet lepiej niż wszyscy chłopcy z wszystkich boysbandów świata.

- Tss, tss - zacmokała Helen, udając współczucie. - Nie zrobiłaś sobie chyba nic złego?

- Lepiej czasami się zranić, niż mieć od rana do wieczora zakwas z powodu ściśniętej pupy! - odpowiedziałam.

Nadbiegła Matylda.

- Julio, potłukłaś się? - spytała, patrząc z troską na moje podarte spodnie i rozbite kolana.

- Trochę - odparłam.

- Tego nieokrzesanego gbura spotkała już zasłużona kara - poinformowała mnie Matylda w charakterystyczny dla siebie sposób i zaprezentowała minę Alexandra, kiedy zdzieliła go pięścią w głowę. Musiał wyglądać jak chory umysłowo szympan.

- Czuję się jakoś tak dziwnie w brzuchu - zajęczałam. Matylda zaprowadziła mnie do pielęgniarki. - Upadła i ma teraz dziwne uczucie w brzuchu.

Co to może być? - dopytywała się Matylda.

- To szok - stwierdziła fachowo szkolna pielęgniarka, opatrzyła mi kolana, nakleiła wielkie plastry i odesłała nas do klasy.

Dziwne uczucie nie minęło jednak w ciągu następnych dwóch godzin. Ledwie mogłam się skoncentrować na tym, co pani Ammerung opowiadała o wojnach punickich.

Po lekcjach też wciąż jeszcze czułam się dziwnie. Kiedy Matylda, wychodząc ze szkoły, chciała się założyć, czy na obiad będzie pizza, czy spaghetti, a w tym samym momencie minął nas na deskorolce mój bohater z długiej przerwy, dziwne uczucie tak się spotęgowało, że już na samą myśl o obiedzie ogarnęła mnie zgroza.

- Myślę, że to jest bardzo głęboki szok - powiedziałam do przyjaciółki.

Na obiad mama rzeczywiście zrobiła spaghetti carbonara. Nie cieszyłam się jednak ani ze spaghetti, ani z faktu, że wygrałam zakład.

- Julia, jesteś chora? - spytała zatroskana mama.

Nie byłam zbyt pewna, ale energicznie pokręciłam głową.

- Nie, nie. Nie mam dziś po prostu ochoty na spaghetti - skłamałam, spotykając zdziwione spojrzenie Matyldy.

Nocą nie mogłam spać, leżałam więc w łóżku, obmacując swój brzuch. Dziwne uczucie wciąż jeszcze tam było. Zaczęłam się teraz poważnie martwić. A jeśli podczas upadku nabawiłam się obrażeń wewnętrznych i właśnie bezgłośnie się wykrwawiam?

Wślizgnęłam się do pokoju Cory i obudziłam ją. - Cora, coś ze mną jest nie tak. Instynktownie wiedziałam, że w tej sytuacji siostra była jedyną właściwą osobą do rozmowy.

- Jest środek nocy. Pogięło cię? - burknęła Cora.

- Ale to coś złego. Na pewno! - lamentowałam. Cora spojrzała na mnie badawczo i odchyliła kołdrę. - Wskakuj - powiedziała krótko.

Już od bardzo dawna tak nie było. Dawniej często pozwalała mi wchodzić do swojego łóżka, kiedy się bałam. Kiedy na dworze szalała straszliwa burza. Kiedy mama i tato się kłócili. Kiedy w ostatni wieczór przed klasówką z matmy śniły mi się tylko liczby. Ale ostatni raz wlałam do jej łóżka gdzieś ze dwa lata temu. W pewnym momencie przestała mieć ochotę na to, żeby mnie ochraniać. A kiedy wyjątkowo pozwalała mi położyć się koło siebie, to już nie było to samo.

- No, włącz - ponagliła mnie niecierpliwie. Wgramoliłam się do jej łóżka i natychmiast poczułam się trochę lepiej. Było tu ciepło i przytulnie.

- Zabujałaś się, Julia - stwierdziła sucho, gdy opowiedziałam jej o swoim upadku i wybawicielu.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

- Tak to się odczuwa? - spytałam z niedowierzaniem.

- A co ty myślałaś?

Liczyłam się ze wszystkim, na przykład z mieszaniną takiego uczucia, jakie się ma przed podróżą, i tego tuż przed Bożym Narodzeniem albo ze skrzyżowaniem rozpakowywania prezentów z wylegiwaniem się na słońcu. Jeśli o mnie chodzi, to przewidywałam też łaskotki i śmiech do utraty tchu, ale nie to, że będę się czuła jak chora.

- Nie mam apetytu, czuję w brzuchu coś jak przed klasówką z matmy, ledwie mogę oddychać, nogi mi drżą, a w głowie mam chaos - skarżyłam się.

- Tak to jest - westchnęła Cora.

A potem opowiedziała mi o swoim pierwszym zakochaniu i po raz pierwszy od

dłuższego czasu byłam znów naprawdę szczęśliwa, że mam starszą siostrę.

Następnego ranka w szkole nie mogłam się doczekać na Matyldę. Zazwyczaj spotykałyśmy się pięć minut przed pierwszą lekcją, przed szkolną bramą, aby jeszcze zdążyć omówić najważniejsze wydarzenia z nocy i rana. Dzisiaj byłam tam już dziesięć minut wcześniej. Niewykluczone, że ON przychodzi do szkoły wcześniej, a pod żadnym pozorem nie chciałam stracić okazji zobaczenia GO.

Ale nie przyszedł. Matylda pojawiła się dziś punktualnie jak w zegarku i w krótkiej drodze do klasy zdołałam jej tylko bardzo skrótowo opowiedzieć, co mi w duszy grało.

- Matyldo, dopadło mnie! Zakochałam się! - Spojrzałam na nią wyczekująco, wyobrażając sobie, że jej oczy rozbłysną żądzą informacji, ale nie wydarzyło się nic takiego.

Matylda tylko popatrzyła na mnie, skinęła głową i podsumowała temat jednym krótkim słowem:

- Aha.

To wszystko? Na pierwszych dwóch lekcjach wciąż spoglądałam w stronę Matyldy. Może miała akurat przed sobą karteczkę, na której wypisywała wszystkie ważne, otwarte kwestie: *W kim jesteś zakochana? Jak to się stało? Jakie to uczucie?*

Ale Matylda słuchała z wyjątkową uwagą, co pani Ammerung miała do powiedzenia w kwestii miejsca czasownika w zdaniu. Byłam niewymownie rozczarowana jej brakiem zainteresowania tak ważną dla mnie sprawą.

- Nie chcesz nawet wiedzieć, w kim się zakochałam? - spytałam ją na przerwie.

- W kim się zakochałaś? - powtórzyła jak echo, bez cienia prawdziwego zainteresowania.

Postanowiłam po prostu zignorować jej obojętność. Być może nie odczuwała potrzeby, żeby się czegoś dowiedzieć. Ja natomiast odczuwałam ogromną potrzebę, żeby się wygadać.

Opowiedziałam jej więc o swoich uczuciach od momentu cudownego spotkania z NIM. Matylda zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. To było nienaturalne. Matylda nigdy nie zamykała oczu. Wprost przeciwnie. Często nawet się martwiłam, czy jej oczy nie będą kiedyś wyglądały jak przypalone jajka sadzone, jeżeli nadal będzie się wgapiała w prażące słońce.

- No więc - ciągnęłam - najpierw muszę dowiedzieć się o NIM wszystkiego, ale to absolutnie wszystkiego.

W tym miejscu naszej dotychczas dość jednostronnej rozmowy Matylda otworzyła oczy.

- Uważam, że zakochanie jest głupie. Jest to jedna z tych rzeczy, których nigdy nie zrobię. Tak samo jak nigdy nie zjem ostryg, nie założę spódnicy i nie będę się uczyła chińskiego.

Rozległ się dzwonek na następną lekcję i Matylda natychmiast ruszyła do klasy. Chciałam pobiec za nią, ale nogi nie chciały oderwać się od podłogi, ponieważ moje oczy właśnie GO wypatrzyły. Stał w odległości niecałych trzech metrów i rozmawiał z innym chłopakiem. Niedbale oparł o nogę swoją deskorolkę. Podczas rozmowy przekręcał sobie baseballówkę wokół głowy to w lewo, to w prawo. Serce zabiło mi mocniej. Moja głowa była pusta niczym bańka mydlana. Rany, ale on cudnie wyglądał!

Desperacko próbowałam poruszyć chociaż jedną nogą, żeby stanąć w miarę swobodnie pod ścianą budynku. Nie udało mi się. W tej sytuacji zaczęłam udawać, że na kogoś czekam, pomrukując od czasu do czasu coś w rodzaju: „No, gdzie ona się podziała?” i spoglądając nerwowo na zegarek. Mogłam sobie tego jednak oszczędzić, ponieważ ON ani razu nie spojrzał w moim kierunku. Ale lepiej nie ryzykować.

Usilnie próbowałam dosłyszeć przynajmniej urywki rozmowy, niestety, na próżno. Kiedy rozległ się drugi dzwonek, ON pożegnał się z przyjacielem, najpierw przybijając piątkę, a później wykonując całą serię skomplikowanych ruchów palcami.

Zdażył już zrobić kilka kroków, kiedy ten drugi chłopak zawołał za nim:

- Hej, Carlo! To o trzeciej, OK?

To imię było jakby stworzone dla niego. Carlo. A może Karlo? Wszystko jedno. Carlo albo Karlo kojarzyło się z Włochami, *amore* i wielką namiętnością. Wyobraziłam sobie, jak głaszczę go po ciemnych, sięgających ramion lokach, szepcząc: „Carlo...” albo „Karlo...”.

Kiedy ocknęłam się z tego cudownego rozmarzenia Carla czy Karla już dawno nie było. W ogóle cały dziedziniec szkolny był pusty. Pospieszyłam do klasy i wcisnęłam nauczycielowi angielskiego bajeczkę o wyjątkowo złośliwym rozwolnieniu.

Wkrótce odkryłam, że Carlo albo Karlo miał jednak na imię Carlo. Przejrzałam w bibliotece stare roczniki i znalazłam w nich podstawowe informacje. Carlo Schneider. Klasę wyżej ode mnie. As sportowy.

Na dużej przerwie miałam przed sobą trudne zadanie: musiałam tak pilotować Matyldę po dziedzińcu, aby mieć na oku Carla. I żeby Matylda tego nie zauważyła. Doskonale wiedziałam, że w przeciwnym razie znów przewracałaby oczami, jak zawsze, kiedy poruszałam temat Carla. Potem powiedziałyby: „Julio! Trzymaj się od tego z daleka! Faceci sprawiają tylko kłopoty!”.

- Muszę iść do cienia! - skłamałam i pociągnęłam zdumioną Matyldę pod stary

kasztanowiec na tyłach dziedzińca. Idealnie. Stąd miałam wysmienity widok na mój obiekt westchnień.

Matylda wyśmiewała się z Helen - że strasznie głupio dziś wygląda z niebieskim cieniem na powiekach - a ja próbowałam jak najdyskretniej uchwycić każdy ruch Carla.

Kątem oka zauważyłam, że zbliża się do nas Helen ze swoim orszakiem. Właśnie przygotowywałam sobie jakieś soczyste powiedzonko na jej przywitanie, kiedy nagle w mojej głowie zawirowało. Co to miało znaczyć?

Podczas gdy Helen, chichocząc głupio i unosząc brwi, przedelfilowała obok bohatera deskorolki, Carlo odwrócił się od swoich przyjaciół i wlepił w nią wzrok.

„Gapi się, bo uważa, że Helen wygląda idiotycznie z tym swoim głupim niebieskim cieniem na powiekach”, wmówiłam sobie szybko.

- Twój Carlo leci na naszą skórę ze ściśniętą pupą! - Matylda podążyła za moim osłupiałym wzrokiem i bez mrugnięcia okiem rozwiła iluzję.

- Pogięło cię? - fuknęłam na nią. Ale moje serce wiedziało, że miała rację. Spojrzenie Carla, które wciąż jeszcze nie chciało się oderwać od pleców Helen, wcale nie świadczyło o tym, że ta idiotka mu się nie podoba. Wręcz przeciwnie.

- Fuj. Tu śmierdzi oborą, nie uważacie? - zaszczebotała Helen, otaczając się przyjaciółkami i ustawiając się dokładnie w moim polu widzenia.

Mogłabym ją zamordować. Ta dziewczucha była gwoździem do mojej trumny. Zarazą, która mnie prześladowała. Moim prywatnym koszmarem.

Cora kiwała głową w zamyśleniu.

- Trudna sytuacja! - stwierdziła wreszcie. - Albo podejmij walkę o niego, albo daj sobie z nim spokój możliwie jak najszybciej.

- Nie potrafię! Zamieszkał w mojej głowie. Rozumiesz? Jest, że tak powiem, jedyną treścią, jaka w ogóle jeszcze istnieje w mojej głowie! - wrzasnęłam.

Cora podeszła do swojej szafy i zaczęła grzebać w ciuchach, mówiąc dalej:

- Po pierwsze: dowiedz się, co Helen o nim sądzi. Po drugie: nie spuszcza go z oka. Po trzecie: nie ubieraj się już jak dziecko.

Siostra pożyczyła mi swoją koszulkę i starą spódniczkę mini, a ja przymierzyłam je przed lustrem w łazience.

Wydawało mi się, że wyglądam trochę śmiesznie w obcisłej bluzeczce, która sięgała mi ledwie do pępka, i w krótkiej spódniczce, o której wiedziałam: nie powinno się w niej siadać, jeśli nie chciało się zaprezentować całemu światu swoich majątek. Ale te rzeczy leżały na mnie jak ulał.

Cora przyjrzała się swojemu dziełu, ale nie była jeszcze zadowolona. Kilkoma zręcznymi ruchami nałożyła mi trochę pudru, błyszczyk do ust i odrobinę cienia do powiek. Niebieskiego cienia do powiek.

- Cora, no nie wiem! Czy to nie przesada? - Julia! Ten chłopak jest starszy od ciebie. Jeśli chcesz mieć jakieś widoki na sukces, to musisz coś zrobić w tym kierunku!

Uległam.

Ale Cora wciąż jeszcze zdawała się być nie do końca usatysfakcjonowana moim wyglądem.

- Czegoś tu brakuje... - zastanawiała się. - Wiem, przecież ty nie masz biustu!

Przyznaję, nie miałam jeszcze szczególnie wyrazistego biustu. Przypominał raczej dwie kauczukowe piłeczki. Ale byłam z tego właściwie zadowolona. Wyobrażałam sobie, że z dużymi piersiami żyło się dość uciążliwie. Jak tu spać na brzuchu, mając duże piersi? Co z nimi robić, kiedy się skacze z trampoliny?

- No i co z tego? - spytałam obrażona.

- Chłopakom podobają się duże biusty. Czytałam w „Bravo”, że oni najpierw patrzą na biust, a dopiero później w oczy.

- Helen ma już całkiem duży - mruknęłam.

- No widzisz - odparła Cora i pobiegła do pokoju. Wróciła z jednym ze swoich biustonoszy, wypchała solidnie miseczki watą i wcisnęła mi go do ręki. - Tak będzie dobrze.

Włożyłam na siebie to monstrum i przejrzałam się w lustrze.

- Wyglądam jak Pamela Anderson - zauważyłam niepewnie.

- Bzdura. Wyglądasz świetnie - stwierdziła Cora.

- Koniec gruntownej renowacji.

- O rany, Julio! Zmiłuj się, wyglądasz jak Helen!

- oświadczyła z obrzydzeniem Matylda, kiedy spotkałyśmy się następnego ranka przed szkołą.

To akurat mogła sobie darować. Wolałabym raczej odrobinę wsparcia w mojej walce o Carla, a nie taką krytykę. Już bez kręcenia głową Matyldy kosztowało mnie nadludzki wysiłek, aby założyć sztuczny biust i pomaszerować z nim dumnie do szkoły.

Kiedy weszłam do klasy, zdałam sobie sprawę, jakie to było głupie z mojej strony. Przy pierwszej okazji wymknę się do toalety i zdejmę ten biustonosz.

Niestety, tutaj, podobnie jak w większości szkół, panowały dziwne reguły odnośnie do wychodzenia do toalety. Na pierwszej lekcji było to prawie zabronione, ponieważ, jak twierdziła pani Ammerung, żaden zdrowy człowiek nie mógł odczuwać po godzinie aż tak

wielkiej potrzeby i ona nie życzyła sobie, aby ktoś płatał się po korytarzu, zamiast się uczyć.

Akurat, brak potrzeby podczas pierwszej lekcji! Odczuwałam ogromną potrzebę uwolnienia się od sztucznego biustu.

Chcąc nie chcąc zdecydowałam, że do drugiej lekcji będę miała na sobie kurtkę dzinsową. Pociłam się jak mysz. Kiedy wreszcie rozległ się dzwonek na przerwę, jak oparzona wyleciałam z klasy w kierunku toalety. Zanim jednak dopadłam zbawiennych drzwi, zobaczyłam z daleka Carla snującego się po korytarzu.

„Chłopakom podobają się duże biusty!”, przemknęło mi przez myśl. Szybko zdjęłam kurtkę, wyciągnęłam się jak struna i wypięłam swoje sztuczne piersi w stronę Carla. Korytarz wydał mi się nagle okropnie długi. Czas mijał jak w zwolnionym tempie, w głowie kłębiły się tysiące myśli. „Odezwij się!”, nakazywał mi wewnętrzny głos. „Zgłupiałaś? Nie możesz tak po prostu zagadać do niego!”, odpowiadał inny głos. Najchętniej wrzasnęłabym na głos: „SPOKÓJ!”, aby uciszyć te dwa zadziorne koguty w mojej głowie.

Potem jednak wszystko potoczyło się za szybko, Carlo bez jednego spojrzenia przeszedł obok mnie.

„No świetnie, Julia! To była twoja szansa, a ty po prostu pozwalasz, żeby przeszła ci koło nosa!”, powiedział pierwszy głos. „Dobrze, że już po wszystkim!”, skwitował drugi.

- Hej, Carlo! Poczekaj! - zawołał głos, który rzeczywiście wydobywał się z moich ust.

Carlo odwrócił się i przekrzywił głowę, jakby zastanawiał się gorączkowo, czy powinien mnie znać.

- Eee... tego, a więc rzeczywiście nazywasz się Carlo? - wyjąkałam. - Kiedyś usłyszałam twoje imię, zupełnie przypadkiem - dodałam jeszcze. Chciałam powstrzymać język, ale się nie dało. - Tylko że... nie wiem oczywiście, czy Carlo przez K, czy przez C!

Gdyby się nie odezwał, jękałabym się tak jeszcze przez długie godziny. On jednak powiedział:

- Przez C.

- Ach! - odpaliłam z błyskotliwością nie do przebiccia. - Chciałam ci tylko podziękować za tę sprawę na szkolnym dziedzińcu.

Carlo znów przekrzywił głowę, jakby kompletnie nie mógł sobie przypomnieć, o czym mówiłam.

- No wiesz. Jestem tą dziewczyną, której niedawno pomogłeś wstać - pomogłam mu rozruszać pamięć.

Przypomniał sobie.

- Ach, ta, która wpadła w błoto!

„Fakt, wpadłam, i to po uszy, bo się w tobie zakochałam!”, krzyknął głos w moich myślach. Ale tego oczywiście nie powiedziałam głośno.

- Nie ma problemu - odezwał się Carlo, odwrócił się i odszedł.

Parzyłam za nim i kręciłam głową nad samą sobą. Byłam po prostu za głupia, żeby prowadzić przyzwoitą rozmowę. Dlaczego rozum zawodził, kiedy stałam naprzeciwko Carla? Z Matyldą przecież umiałam rozmawiać. Nawet przy Helen, której nienawidziłam z całego serca, mój głos nigdy nie zawiódł. Ale wobec Carla w ciągu sekundy zamieniałam się w małe dziecko, które plecie tylko jakieś bezsensowne bzdury.

Przez tę straszliwą klęskę zapomniałam o moim wcześniejszym postanowieniu. Powlokłam się na dziedziniec, marząc o ukryciu się za szerokimi plecami Matyldy.

Zanim jednak znalazłam się w opiekuńczym cieniu przyjaciółki, ni stąd, ni zowąd wyrosła przede mną Helen wraz ze swoją świtą. Zwijają się ze śmiechu i ledwie mogła wykrztusić:

- Co... co to ma być? - i pokazała palcem na moją bluzkę.

Moja koszulka! Do diabła! Przez to całe zamieszanie z Carlem zapomniałam zdjąć sztuczny biust.

- To naukowy eksperyment - oświadczyłam bardzo poważnym tonem. - Testuję reakcję osobników męskich na powab kobiecy.

Boże, jakie idiotyzmy! Ale w tym momencie nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Minęłam Helen i jeszcze po kilku minutach słyszałam jej dźwięczny chichot.

LEKCJA UWODZENIA

- Nigdy więcej nie posłucham twojej rady! - fuknęłam na Corę po obiedzie. - Totalnie się ośmieszyłam przez te głupie poduszki!

Cora nie odgryzła się, jak to miała w zwyczaju, tylko rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

- O co chodzi? - mruknęłam.

Znałam ten uśmiech. Znaczył tyle, co: „Wiem coś, czego ty nie wiesz”. I byłam pewna, że to musiało się wiązać z Carlem.

Siostra trzymała mnie w niepewności.

- Cora! No co jest?

- Ach! - westchnęła. - Przecież już nie chcesz słuchać moich rad.

No tak, złapała mnie. Doskonale wiedziała, że z ciekawości nie wytrzymam ani sekundy dłużej. I ze smakiem rozkoszowała się swoją władzą.

- Wcale tak nie myślałam. To, że jakaś rada nie była strzałem w dziesiątkę, wcale nie znaczy, że zwykle nie masz racji.

Poniżałam się, nie mrugnawszy okiem. W myślach przeliczyłam kieszonkowe. Jeśli będzie trzeba, nie cofnę się nawet przed ofiarą finansową, aby usłyszeć sekret Cory. Miałam jednak szczęście. Ona sama najwyraźniej siedziała jak na rozżarzonych węglach i bardzo chciała podzielić się ze mną wiadomością.

- Wiem, gdzie możesz go znaleźć codziennie od trzeciej - oświadczyła z dumą i po krótkiej, pełnej napięcia pauzie dodała: - Na placu koło katedry!

To była informacja, za którą oddałabym nie tylko kieszonkowe, ale i książeczkę oszczędnościową. W razie potrzeby zaprzedałabym również swoją duszę diabłu. Dobrze, że Cora tego nie wykorzystwała.

- Serio? - zdziwiłam się. - A co on tam robi?

Co miałby robić? Był przecież skaterem i nagle przypomniałam sobie dzień, w którym tato powiedział nam, że przenosimy się do Kolonii. Cora opowiadała w barwnych słowach o słodkich chłopakach na placu obok katedry, którzy popisywali się tam swoimi sztuczkami na deskorolkach.

- Już wiem. Jeździ na deskorolce - dorzuciłam szybko, żeby nie wyjść na głupią. - No i co mam teraz zrobić z tą wiadomością, na litość boską?

Ale Cora już sobie wszystko przemyślała.

- Jedziemy na tym samym wózku - stwierdziła.

Opowiedziała mi z błyszczącymi oczami, że zabujała się w chłopaku z wyższej klasy. W Marcelu. Ten Marcel też był skaterem i również spędzał większość czasu na placu.

- Jest z wyższej klasy? - spytałam z niedowierzaniem. - Czy to nie za wysoka liga dla ciebie?

- A co mam robić z tymi typkami z mojej klasy? Zmieniać im pieluchy, wyciskać pryszcze i bawić się samochodzikami?

Nie zajmowałam się dłużej upodobaniami Cory do starszych chłopaków. Zgadzałam się na wszystko, byleby tylko poszła ze mną na plac katedralny.

- Może nawet ci dwaj się znają. Wśród skaterów różnica wieku nie jest chyba tak ważna. Dla nich liczą się umiejętności. Twój Carlo coś potrafi?

- Taaak, eee... - wyjąkałam. - Myślę, że tak.

Nie znałam się na tym za bardzo. Oczywiście, wciąż obserwowałam Carla i jego kumpli na szkolnym dziedzińcu, jak przelatywali na deskorolkach nad krawężnikami i ławkami. Uważałam, że jeździł genialnie. Jednakże nie wiedziałam, jak genialnie jeździli inni.

- Zadzwoń do Matyldy!

Byłam właściwie umówiona na popołudnie z Matyldą, jak co dzień. Miałyśmy zamiar zabrać parę kanapek i zrobić sobie piknik nad Renem. Teraz nic z tego nie wyjdzie i mogłam sobie żywo wyobrazić reakcję przyjaciółki na zakłócony porządek dnia. Na pewno nie będzie zachwycona propozycją siedzenia w upale pod katedrą i oglądania Carla.

- Myślisz, że to dobry pomysł, żeby Matylda szła z nami? - spytała Cora.

- Hę? A dlaczego nie? - zdziwiłam się.

- No wiesz, ona nie jest akurat... hm... zbyt odjazdowa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Wyobraź sobie, że założy te swoje ogrodniczki z łatami w kwiaty na kolanach i będzie demonstracyjnie czytała książkę, podczas gdy ty będziesz próbowała ściągnąć na siebie uwagę skatera.

„Ale bzdura!”, miałam już na końcu języka, ale powstrzymałam się przez ułamek sekundy. Ten moment wystarczył, abym usłyszała syczący głos zwątpienia. A co, jeśli Cora miała rację? Zgoda, o Matyldzie wiele można by powiedzieć, ale nie to, że jest odjazdowa, jasne. Właśnie to tak bardzo w niej lubiłam. Ale osobom postronnym trudno było zauważyć jej wewnętrzne zalety. Strach pomyśleć, co by było, gdyby przyniosła scyzoryk i dalej dłubała przy swojej rzeźbie słonia. Przecież nikt tego nie zrozumie. Słonie nie są odjazdowe. Ludzie, którzy rzeźbią słonie, nie są odjazdowi. Ludzie, którzy siedzą na placu katedralnym z ludźmi,

którzy rzeźbią słonie, nie są odjazdowi.

- No i jak? - nalegała Cora. - Idziemy? Chwyciłam za telefon i wybrałam numer przyjaciółki.

- Cześć, Matyldo. Wiesz co, jakoś nie za dobrze się czuję. Przełożmy piknik na inny dzień. Zostanę w łóżku - kłamałam. - Nie, nie musisz mi przynosić herbaty.. Nie, mam coś do czytania... Serio, Matyldo, lepiej do mnie nie zaglądać. Chcę odpocząć, rozumiesz?

Matylda zrozumiała. Sama miewała dość często humory i dziwaczne zachcianki. Zawsze mnie rozumiała, poza moim zakochaniem. A ponieważ w tym wypadku chodziło o zakochanie, uspokoiliam nieczyste z powodu kłamstwa sumienie tym, że ostatecznie wyświadczałam jej przysługę, nie zabierając jej na plac katedralny, dlaczego jednak nie powiedziałam o tym Matyldzie? Nie miałam czasu, aby się nad tym zastanawiać, Cora pomachała mi przed nosem różową koszulką, Szybko w nią wskoczyłam i dałam sobie namalować kilka kresek w barwach wojennych na ustach i powiekach. Z powabów sztucznego biustu wołałam jednak raz na zawsze zrezygnować. Musiało udać się i bez niego.

Mama właśnie wchodziła do domu, kiedy zamierzałyśmy wyjść. Niosła w ramionach monstrualnych rozmiarów roślinę doniczkową, rozsunała jej liście i mrugnęła do mnie z gęstej dżungli.

- O mały włos nie wzięłam cię za Corę - stwierdziła zaskoczona. A kiedy Cora pojawiła się za mną na korytarzu, pokręciła głową. - Można by was uznać za bliźniaczki. Julia, zajączku, zaczęłaś się już malować?

- Nie nazywaj mnie ciągle zajączkiem! - skrzywiłam się. - Nie jestem już dzieckiem! Chyba widzisz!

Mama westchnęła. Przypuszczalnie znów zdała sobie sprawę, że nie ma już w domu „zajączków”. Cora już dwa lata temu zabroniła tak do siebie mówić. Tato znosił to najwyżej dwa razy dziennie, potem i jemu zabrakło cierpliwości i każde „zajączkowanie” kwitował zdaniem w stylu: „Czy zajączki mają nadgodziny?” albo „Czy zajączki płacą za wizyty żony u fryzjera?”.

- Może to i dobrze, że stajecie się podobne do siebie - odezwała się mama, aby przepędzić nostalgiczny nastrój. - Już ledwie można było wytrzymać ten wasz konflikt pokoleniowy.

Miała rację. Odkąd byłam zakochana, rozumiałyśmy się z Corą wyjątkowo dobrze. Wcześniej nigdy w życiu nie wpadłaby na pomysł spędzenia ze mną popołudnia.

- Cześć, mamo. - Cora nerwowo przerwała filozoficzne wywody mamy o życiu z dwiema dojrzewającymi córkami. Precisnęła się obok kwiatowego monstrum i pociągnęła

mnie za sobą.

Powodzenia! - zawołała za nami mama i zorientowałam się po jej głosie, że zaraz po naszym wyjściu wyciągnie z szafki album ze zdjęciami z naszego dzieciństwa i pogrążając się we wspomnieniach, uroni pewnie jedną czy dwie łzy.

Była przepiękna pogoda.

Na placu przed słynną katedrą panowało istne piekło. Gromady japońskich turystów pstrykały dziesiątki zdjęć. Na ziemi siedzieli artyści usmarowani kolorową kredą, którzy wyczarowali na asfalcie *Monę Lisę* wielkości boiska do koszykówki i inne nieznane mi sławne postacie z historii sztuki, a teraz usiłowali powstrzymać nieuważnych przechodniów przed zdeptaniem ich dzieł.

Tylnej części placu tłumy musiały jednak unikać. Tam królowały deskorolki i rolki. Zapuszczanie się w ten rejon groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem. Chłopcy, a także kilka dziewczyn, śmigali z karkołomną prędkością pomiędzy turystami.

Skaterzy zbudowali sobie z pojemników i desek przeszkody, do których podjeżdżali i prawie zawsze Przez nie przeskakiwali, jakby pod kółkami mieli zamontowane niewidzialne skrzydła.

Moja siostra nałożyła okulary przeciwsłoneczne zorientowała się w sytuacji. Następnie zlokalizowała Marcela, swój obiekt westchnień z wyższej klasy, i ruszyła w stronę fontanny, spod której mogła go cały czas obserwować.

ora przybrała odpowiednią pozę. Oparła się niedbale na łokciach, jakby otoczenie ani trochę jej nie obchodziło. A ja, choć wypatrywałam sobie oczy, nigdzie nie mogłam dostrzec Carla.

- O nie! Tylko nie Alexander! - wymruczałam. - No, super. Psuje mi cały humor.

- To widać! - odparła zdenerwowana Cora. - Można to wyczytać z twojej twarzy jak z książki. Napisz sobie od razu na czole: jest mi źle i najchętniej schowałamby się pod maminym fartuchem! Lekcja numer jeden: zawsze sprawiaj wrażenie, jakby nic, a przede wszystkim nikt nie był w stanie wytrącić cię z równowagi, zrozumiłaś?

Zrozumiałam. Oparłam się niedbale na łokciach, które już po kilku minutach strasznie mnie rozboleły, i mrużyłam w słońcu oczy, jakby nic, a przede wszystkim nikt nie był w stanie wytrącić mnie z równowagi.

- Udawaj, że właśnie opowiedziałam ci świetny kawał! - syknęła nagle Cora.

- Hi, hi, hi! - zachichotałam posłusznie, a ona mi zawtórowała.

- Dlaczego miałam to zrobić? - dopytywałam się, kiedy siostra przestała się śmiać.

- Ponieważ właśnie mijał nas Marcel, głuptasie. Lekcja numer dwa: zachowuj się

zawsze tak, jakbyś się świetnie bawiła.

Najchętniej wyjęłabym kartkę i zapisała te wszystkie reguły zachowania. Wystawiłam się do słońca, upewniwszy się kątem oka, czy Carlo przypadkiem nie przyszedł. Uniknęłam przy tym wzroku Alexandra, który uśmiechnął się do mnie szeroko, jakby tylko czekał, żeby rzucić mi jakąś głupią zaczepkę. I zrobiłam się już zupełnie ocięzala, kiedy jakiś głos wyrwał mnie z letargu.

- Cześć!

ponieważ myślami byłam akurat przy Carlu, wyobraziłam sobie przez moment, że to on. O mały włos nie wpadłam do fontanny. Głos nie należał jednak do Carla, tylko do szatyna z ułamanym siekaczem, i mówił nie do mnie, tylko do Cory.

- Cześć, Marco. Zastłaniasz mi słońce - odparła ze znużeniem moja siostra.

Marco rzeczywiście zastłaniał słońce. Ale czy z tego powodu musiała być dla niego tak nieuprzejma?

- Super było dziś na matmie, jak Pitowi się odbiło, no nie? - zauważył Marco z nadzieją w głosie.

- Całkiem nieźle - odpowiedziała i popatrzyła w innym kierunku.

Marco stał przed nami niezdecydowany jeszcze przez kilka sekund, podrapał się po głowie i znów stanął na swojej desce.

- No to na razie, do jutra.

Cora kiwnęła głową od niechcenia.

- Dlaczego potraktowałaś go tak z buta? - zainteresowałam się, kiedy Marco znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Działa mi na nerwy jak wszystkie chłopaki z mojej klasy! Po prostu nie potrafi zrozumieć, że nic od niego nie chcę.

Cora niespodziewanie przerwała naszą rozmowę, Ponieważ spostrzegła, że w naszym kierunku nadjeżdżał Marcel. Uniosła majestatycznie głowę i na jej twarzy pojawił się na moment uwodzicielski uśmiech.

Zadziałało. Marcel uśmiechnął się w odpowiedzi i tuż przed naszymi nosami wykonał karkołomną akrobację na deskorolce.

- Widzisz?! - ucieszyła się Cora. - Udało się! Byłam pod wrażeniem.

- Patrz, kto nadjeżdża!

Cora pokazała głowę na prawo. Na chwilę serce zjechało mi do żołądka, a z twarzy na pewno zniknęły wszelkie ślady opanowania. Carlo mknął na desce przez plac katedralny, od czasu do czasu witał się z jakimś chłopakiem, a następnie pokonywał kilka przeszkód. Był

genialny!

- Czyż nie jest słodki? - wychrypiałam.

- Jak na smarkacza jest całkiem miły - przyznała moja siostra, dla której chłopak będący o klasę niżej; zaliczał się naturalnie do dzieciaków.

Szybko przypomniałam sobie wszystko, co zanotowałam z lekcji Cory na niewidzialnej kartce, zrobiłam minę pt. „Świetnie się bawię i niczego ani nikogo nie potrzebuję” i spróbowałam nakłonić serce do regularnego bicia.

Carlo ani razu nie spojrzał w moim kierunku. Mogłam sobie wyglądać tak niezależnie, jak tylko chciałam.

- Jeszcze nadejdzie twoja szansa - próbowała mnie uspokoić Cora. Ale zamiast szansy akurat w tym momencie pojawiło się przy fontannie zupełnie inne zjawisko. Helen! W ognie za nią wlokły się Ann - Sophie i dwumetrowa Pauline.

- O nie! Dlaczego wszystko jest przeciwko mnie! - wrzasnęłam.

Helen usadowiła się zaledwie trzy metry od nas, zaszczycając mnie przy tym krótkim, pogardliwym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Siedzisz na mojej fontannie, ty wrzodzie!”. Carlo śmignął tuż obok mnie i wykręcił przed Helen zapierający dech w piersiach piruet.

Ona jednak zdawała się w ogóle nie zauważać tego wykonanego wyłącznie dla niej popisu. Usilnie wypatrywała kogoś na placu.

Dyskretnie podążałam za jej wzrokiem i zorientowałam się, że szuka nie kogo innego, jak tego Marca, który przed chwilą stał i tak tęsknie gapił się na moją siostrę.

- Widzisz to, co ja? - szepnęłam do Cory. Cora natychmiast oceniła sytuację.

- Lepiej nie mogło się zdarzyć, Julia. Ona ma w nosie twojego Carla! Ma chętkę na Marca.

Spadł mi kamień z serca. Skoro Helen miała w nosie Carla, to istniała jeszcze szansa, że wkrótce Carlo przestanie się nią interesować i wtedy nadejdzie mój dzień!

- Kurczę! - przerwała mi radosne rozmyślenia siostra. - On już idzie.

Jej obiekt zainteresowań rzeczywiście pakował swoje rzeczy do plecaka i żegnał się z kumplami. Cora w mgnieniu oka zmieniła taktykę z „rozglądania się bez zainteresowania” na „wpatrywanie się i przyciąganie wzrokiem”. Zdjęła okulary i gapiła się na plecy Marcela tak natarczywie, że wcale mnie nie zdziwiło, kiedy się odwrócił i przez moment odwzajemnił wzrok Cory. Uśmiechnął się przelotnie i odjechał.

- Bingo! - ucieszyła się moja siostra, włożyła na nos okulary przeciwsłoneczne i chciała natychmiast iść.

- Chwila! - uniosłam się. - To fajnie, że dostałaś to, czego chciałaś. Ale co ze mną?

Wydawało się, że Cora rzeczywiście na chwilę zapomniała o moim istnieniu.

- Dziś raczej już nic się nie zdarzy! - stwierdziła i pociągnęła mnie najpierw w górę, a potem przed nosem Helen, która nie odmówiła sobie głupiej uwagi pod moim adresem:

- Był już najwyższy czas!

- Co? - odwarknęłam. - Mówił ci ktoś, że masz plamę na cyckach?

Helen dała się nabrać i nerwowo spojrzała na przód swojej koszulki. Nie było tam oczywiście najmniejszej plamki.

Zanim jednak zdążyła podnieść z powrotem wzrok, mój mózg zaczął pracować samodzielnie. Pociągnęłam Corę w przeciwnym kierunku, wprost na Marca, i gwizdnęłam na palcach.

- Hej! Już idziemy!

Marco zareagował natychmiast. Było mu obojętne, że to ja go zawołałam. Podjechał do nas i wbił wzrok w moją siostrę.

- Tak szybko? Szkoda! - powiedział rozczarowany. Widziałam, że Cora najchętniej złałaby mnie na kwaśne jabłko. Opanowała się jednak i niedbale wzruszyła ramionami.

- Tak, mamy jeszcze coś ważnego do zrobienia! Potem odciągnęła mnie za nadgarstek. Udało mi się jeszcze pochwycić zaskoczony wzrok Helen, który wywołał we mnie atak radości. Nie umknęło jej uwagi, że Marco znał akurat moją siostrę, i to dobrze!

- Jesteś nienormalna?! - Cora zaczęła się awanturować. Ale jej pyskowanie było mi obojętne. Do jutra Corze przejdzie. A wprowadzenie Helen w taki szok było warte jednego wieczoru lodowatego milczenia.

Obejrzałam się na fontannę po raz ostatni. Cholera, mogłam tego nie robić! Radość ulotniła się w mgnieniu oka, gdy zobaczyłam, że Carlo zatrzymał się przed Helen i ją zagadnął.

On nigdy nie zakocha się we mnie!

Kiedy wróciliśmy do domu, Cora zakończyła kazanie, pomknęła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Odetchnęłam głęboko i podeszłam do telefonu, żeby zadzwonić do Matyldy. Potrzebowałam teraz solidnej porcji miłości i bezpieczeństwa. Powiem po prostu Matyldzie, że czuję się znacznie gorzej niż w południe, a ona mnie trochę pożałuje i podbuduje. Cóż to szkodzi, że nie zna prawdziwej przyczyny mojej kiepskiej kondycji?

Moja ręka trafiła jednak w próżnię, ponieważ telefonu nie było w przedpokoju na kredensie. Poszłam wzdłuż kabla i znalazłam aparat w rękach mamy, która właśnie śmiała się głośno.

- Tak, moje dziewczyny już obydwie noszą te koszulki powyżej pępka!

O rany, ale ona miała problemy. Czy naprawdę nie można by przedyskutować tego kiedy indziej? Można by. W drzwiach pojawiła się Cora, dała mamie jakiś niezrozumiały znak, że natychmiast musi zadzwonić, a mama posłusznie skinęła głową.

- W porządku, Hanno. Musimy kończyć. Właśnie wróciła do domu moja gromadka. Cora chwyciła telefon i pobiegła z nim do swojego pokoju.

- Głupia krowa! - mruknełam za nią. - Chciałam zadzwonić do Matyldy!

- Matylda właśnie tu była - poinformowała mnie beztrząsowo mama i wskazała na bukiet polnych kwiatów w wazonie na kuchennym stole. - Przyniosła ci kwiaty, twierdziła, że podobno niedobrze się czułaś. Powiedziałam, że czujesz się OK i poszłaś gdzieś z Corą. Żle się czułaś dziś rano, zajączku?

- Nie mów do mnie „zajączku”! I niech wszyscy wiedzą: czuję się do powietrza! - Krzycząc to, wybiegłam do swojego pokoju, rzuciłam się na łóżko i zaczęłam ryczeć. To znaczy, chciałam zacząć ryczeć. W tym momencie jednak Cora otworzyła z hukiem drzwi, przeszła, tupiąc głośno, przez mój pokój i odniosła telefon do przedpokoju.

To była moja szansa. Chwyciłam aparat, rozwinęłam sznur, aż sięgnął do tarasu na dachu i zadzwoniłam do Anny.

- Anna! Moje życie to jedna wielka katastrofa. Siostra już się do mnie nie odzywa, bo ją skompromitowałam. Mama na pewno się obraziła, bo się na nią wydarłam, zupełnie bez powodu. Moja wielka miłość kocha się w najgłupszej krowie świata. No i jeszcze okłamałam najlepszą przyjaciółkę i to się wydało!

Ups! Ugryzłam się w język, ale było za późno.

- Myślałam, że to ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką! - wycedziła śmiertelnie obrażona Anna. - Najwyraźniej jednak wznajesz zasadę: co z oczu, to i z serca. Nigdy bym nie pomyślała, że to się tak szybko stanie, Juliane. Wypłakuj się komuś innemu.

Trzask. Odłożyła słuchawkę. I oto siedziałam na tarasie, kompletnie sama, bo zraziłam do siebie wszystkich ludzi, których znałam. Potoki łez spływały mi po policzkach, a przed oczami miałam tylko jeden obraz: tych głupich krow pod tą głupią katedrą z głupim placem, który obdarował mnie tak niewiarygodnie głupim dniem.

KOMPLIKACJE MIŁOSNO - TECHNICZNE

- Już dobrze, zajączku. To po prostu dojrzewanie, każdego wtedy ponoszą nerwy - powiedziała mama i łagodnie pogłaskała mnie po głowie. Tym razem podarowałam jej denerwującego zajączka. Byłam bardzo zadowolona, że bez większych komplikacji udało mi się przeciągnąć na swoją stronę przynajmniej jedną osobę.

- Cora, czy ty też mi wybaczysz? - błagałam później. Udobruchanie mojej siostry było jednak trochę trudniejsze.

- Jak wpadłaś na ten idiotyczny pomysł? - natychmiast zaczęła znów się wkurzać.

- Chciałam załatwić Helen i straciłam nad sobą kontrolę - odpowiedziałam, patrząc żałośnie.

- Trzeba po prostu umieć się opanować.

Cora udawała teraz dorosłą. Ale w tej chwili nie mogłam tego znieść.

- A kto tu się nie kontroluje?! - wnerwiłam się. - Kto w zeszłym tygodniu rozwalił mi odtwarzacz CD tylko dlatego, że nie był dość szybki?

- Ach tak, rozkręcasz się? - wściekła się Cora. - Coś mi się akurat przypomniało. A kto podczas przeprowadzki potłukł mój wazon od cioci Herty?

- A kto... - chciałam wyliczać dalej, ale tato wyjrzał zza gazety i zakończył kłótnię:

- A kto naprawił odtwarzacz i kupił nowy wazon, o wiele ładniejszy niż stary?

- Ty, tato - przyznałyśmy jednogłośnie.

- No właśnie. Czy mogę więc spędzić spokojne popołudnie w zgodnej rodzinie? - zapytał.

Mama westchnęła.

- Zapominasz, że te nasze zajączki są teraz buzującymi wulkanami hormonów...

Miałam w gardle kluchę co najmniej dwa razy tak wielką, jak pierwszego dnia w szkole. Co mogłam powiedzieć Matyldzie, aby mi przebaczyła?

Czekałam na nią przed szkolną bramą, ale się nie doczekałam. Wytrzymałam do drugiego dzwonka, a potem poszłam ze spuszczoną głową do klasy. Matylda siedziała na swoim miejscu i omijała mnie wzrokiem. Musiała wślizgnąć się do klasy na dziesięć minut przed początkiem lekcji, aby mnie nie spotkać.

- Matyldo, proszę! - odezwałam się, siadając obok niej.

Udawała, że mnie w ogóle nie usłyszała. A potem weszła pani Ammerung i uniemożliwiła dalszą komunikację.

Matyldą tak strasznie mi przykra Jestem głupią krową. Okłamałam Cię, bo chciałam pójść z Corą na plac obok katedry, żeby zobaczyć Carla. I pomyślałam, że uznasz to za głupie, dlatego nic Ci nie powiedziałam.

Czy możesz mi wybaczyć?

Podsunałam Matyldzie karteczkę pod ławkę. Miałam szczęście. Przynajmniej ją otworzyła i przeczytała. Potem jednak zgmiotła ją i rzuciła na podłogę Kurczę!

Podczas dwóch pierwszych lekcji Matylda nie zaszczyciła mnie ani jednym spojrzeniem. Daremnie podsuwałam jej kolejne kartki. Żadnej nie otworzyła. Na przerwie konsekwentnie mnie unikała.

- Matyldo, pogadajmy, proszę! - skomlałam, próbując nadażyć za jej długimi krokami. Ale Matylda nie chciała rozmawiać. Po pięciu minutach poddałam się i bliska płaczu oparłam się o ścianę budynku. Co jeszcze mogłam zrobić?

Nagle wyrosła przede mną Helen. Jeszcze tego mi brakowało!

- Czego? - fuknęłam.

- Nic. Chciałam ci tylko powiedzieć „cześć”. Wydaje mi się, że nie masz zbyt dobrego humoru - zaćwierkała.

Zdziwiłam się. Jej głos brzmiał nieznośnie uprzejmie.

- O co chodzi? - spytałam podejrzliwie.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy nareszcie zacząć normalnie rozmawiać. W końcu jesteśmy w tej samej klasie.

Do czego ta zołza zmierza? Bo przecież o coś jej chodzi. Tylko o co? Nie musiałam się dłużej nad tym zastanawiać.

- Znasz Marca Sommera z DC a, prawda?

Aha, a więc to ma na myśli. Helen podlizywała nu się, aby dowiedzieć się czegoś więcej o moich, a przede wszystkim Cory związkach z Markiem. Super, zabawię się tą głupią gęsią.

- Ach, Marco. Tak, tak - powiedziałam tak obojętnie, jak tylko umiałam. - Miły chłopak.

Helen wyraźnie bardzo się starała być dla mnie uprzejma. A ponieważ tak w ogóle nie było mi do śmiechu, jej męczarnie sprawiały mi przyjemność.

- A.. twoja siostra... Jak ma na imię? - Cora.

- Ach tak, Cora. Jest z nim w klasie, no nie?

- Z kim? - udałam głupią.

- No, z Markiem - wykrztusiła Helen.

- A tak - przytaknęłam. - Przepraszam - dorzuciłam i po prostu odeszłam. „A niech cię diabli”, pomyślałam. Rozejrzałam się po dziedzińcu, żeby znaleźć Matyldę. Gdzie ona się podziała?

Nagle pojawiła mi się przed oczami kartka. Była to kartka, którą napisałam do Matyldy na pierwszej lekcji, a którą ona obojętnie rzuciła na podłogę. A kto ją podniósł i wciskał nos w nie swoje sprawy? Ten wstrętny Alexander!

- Oddawaj! - kwiknęłam i spróbowałam złapać kartkę. Alexander był jednak szybszy i nie udało mi się nawet jej dotknąć.

- Kombinuj - zaczął. - Juliane Seeger zabujała się w Carlu Schneiderze z VIII c i dlatego wystrychnęła na dudka najlepszą przyjaciółkę. Ciekawe... ciekawe...

- To nie twoja sprawa! - próbowałam sprawiać wrażenie doskonale opanowanej. - Poza tym jest zupełnie inaczej, niż myślisz. No i... w ogóle. Co cię to obchodzi?

- Zawsze dobrze jest wiedzieć o rzeczach, które ktoś chciałby ukryć, no nie? - stwierdził Alexander i jego piegowata twarz zrobiła się nagle podobna do głowy żmii po zrzuceniu skóry. Jakże nienawidziłam tego gada!

- Rób, co chcesz - mruknęłam, odwróciłam się na pięcie i odeszłam.

Podczas następnych godzin zastanawiałam się na zmianę, jak wkraść się z powrotem w łaski Matyldy, jak Alexander mógłby mi zaszkodzić informacjami o Carlu i jak mogłabym kiedyś wrócić do normalnego życia.

Na następnej dużej przerwie zobaczyłam Carla na tyłach dziedzińca. A ponieważ Matylda gdzieś się schowała, aby nie wysłuchiwać moich prośb, i nie miałam raczej nic do roboty poza przyglądaniem się, jak marnieje moje beznadziejne życie, usiadłam na ławce nieopodal i dyskretnie zorientowałam się w sytuacji.

To, co zobaczyłam, zepchnęło mój nastrój z piwnicy w najgłębsze czeluście piekieł. Carlo podjechał do Helen i zagadnął ją. Obserwowałam, jak Helen z uniesionymi brwiami patrzy gdzieś ponad nim, kiwając od czasu do czasu głową na znak, że go słucha, i wlepia wzrok w Marca.

Marco natomiast stał przed moją siostrą i podsuwał jej torebkę z żelowymi żabkami. Cora je uwielbiała. I Marco chyba o tym wiedział. Patrzyłam, jak Cora, nie mogąc się powstrzymać, sięgnęła do torebki. Marco rozpromienił się. Jednak moja siostra odwróciła się po prostu na pięcie i trzymając mocno słodką zdobycz, poszła w przeciwnym kierunku, do kącika dla palaczy. No jasne, stał tam Marcel i robił właśnie skręta. Cora tak długo wpatrywała się w niego, aż wreszcie dał jej do zrozumienia skinieniem głowy, że ją poznał.

Wszystko to rozgrywało się tuż przed moim nosem na szkolnym dziedzińcu, a nie na

przykład w kinie. Nie do wiary. Szkoda, że w tej całej historii zostałam zdegradowana do roli widza.

Po lekcjach Matylda wymknęła się z klasy tak szybko, że ledwie nadążyłam za nią wzrokiem. Chciałam za nią pobiec, ale powstrzymała mnie Helen.

- No i jak? Będiesz dzisiaj na placu przed katedrą? - zaszcebiotała słodziutko.

- Nie wiem! - wymamrotałam i minęłam ją biegiem. Matylda jednak już zniknęła.

Podczas obiadu dłużałam w makaronie i rozmyślałam.

- Wciąż jeszcze gniewacie się na siebie? - spytała mama z troską w głosie, mając na myśli Corę i mnie.

- Nieee - odparła moja siostra, a mnie zrobiło się troszkę lepiej.

Po obiedzie wślizgnęłam się do pokoju Cory i poskarżyłam się na bezmiar swojego cierpienia.

- Napisz do Anny list. Pogrywaj dalej z Helen w jej gierkę, dopóki jej solidnie nie dopieczesz. Nie zwracaj sobie głowy tym Alexandrem i przede wszystkim rusz się, kup ogromny bukiet kwiatów i leć z nim do Matyldy, żeby wyjaśnić tę całą sprawę - podsumowała Cora. Dałam jej buziaka w policzek.

- Daj spokój! - fuknęła, ale zauważyłam, że tak naprawdę ucieszyła się z tego.

Wskoczyłam na rower, pojechałam do kwiaciarni i wydałam całe kieszonkowe na ogromny bukiet słoneczników, które Matylda kochała nade wszystko, a potem musiałam przyznać sama przed sobą, że wcale tak dokładnie nie wiedziałam, gdzie ona mieszkała. Znałam wprawdzie adres, ulica Barthela 145, ale po szkole zazwyczaj albo szłyśmy do mnie, albo Matylda wsiadała do tramwaju i jechała do domu. Gdziekolwiek się znajdował.

Na rogu przy kiosku wisiał plan miasta. Ulica Barthela była dość daleko. W drodze zastanawiałam się, jakie to dziwne, że jeszcze nigdy nie odwiedziłam Matyldy. Właściwie nic o niej nie wiedziałam. Okłamałam ją strasznie. To się zgadzało. Ale czy fakt, że nie opowiada się najlepszej przyjaciółce o domu, też nie był czymś w rodzaju nadużycia zaufania?

Dom przy ulicy Barthela 145 był ogromnym, starym budynkiem z wysokimi oknami i majestatyczną bramą wejściową. Odstawiłam rower, pokonałam kilka schodków w górę i chciałam poszukać na domofonie odpowiedniego piętra. Ale znajdowało się tam tylko jedno nazwisko: Sławitzki.

Czy to możliwe? Czyżby rodzina Matyldy mieszkała zupełnie sama w tak ogromnym domu? Zadzwoiłam. Otworzyła mi ładna, ciemnowłosa kobieta. Wyglądała dość młodo i uśmiechała się do mnie uprzejmie.

- Dzień dobry, pani jest pewnie mamą Matyldy Sławitzki? Nazywam się Julia Seeger.

Czy jest Matylda?

- Testem Caren Hansen, pomoc domowa - uśmiechnęła się młoda kobieta i zaprosiła mnie do środka. Kojarz, do którego weszłam, nie był wcale korytarzem. Był to olbrzymi hall z prowadzącymi na pierwsze piętro schodami pośrodku.

- Chwileczkę - powiedziała pani Hansen. - Zobaczę, gdzie jest panienka.

Panienka? Nic dziwnego, że Matylda używała czasami tak śmiesznego języka. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Z prawej i z lewej strony znajdowały się drzwi. Te z lewej były troszeczkę uchylone. Nie mogłam powstrzymać ciekawości i podkrađłam się do nich.

- Do diabła! Gdzie są moje papierosy? - dobiegł mnie z głębi kobiecy głos. Był on tak samo niski, jak głos Matyldy, ale nie wyraźny i silny, tylko łamiący się i bełkotliwy.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam kobietę, która siedziała na włochatym dywanie przed wersalką i obmacywała podłogę. Czyżby była niewidoma? Natychmiast poczułam, że powinnam pomóc, wsunęłam się więc do pokoju i podeszłam do niej bliżej.

- Czy mogę pani pomóc?

- Kim, do diabła, jesteś? Czego szukasz w moim domu? - wrzasnęła. - Policja!

Ze strachu upuściłam słoneczniki. - Ja... ale... - wyjąkałam.

W tym momencie do pokoju weszła Matylda. Bez słowa schyliła się i wyciągnęła spod wersalki paczkę papierosów. Potem wyjęła z niej jednego papierosa, wsadziła go sobie do ust, sięgnęła po zapalniczkę, pyknęła raz, a następnie włożyła go do ust kobiecie na podłozie. Ta zaciągnęła się głęboko. Matylda pobierała słoneczniki, wyprowadziła mnie za rękę z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Wciągnęła mnie po schodach do jakiegoś pokoju i dopiero wtedy się odezwała:

- Czego tu szukasz?

W jej głosie słychać było wściekłość, wstyd i smutek.

- Chciałam cię przeprosić - bąknęłam.

Byłam totalnie speszona i moje wystudiowane przeprosiny wyleciały mi z głowy. Spontanicznie rzuciłam się jej po prostu na szyję. Jeszcze nigdy tak naprawdę jej nie obejmowałam.

Matylda stała sztywna jak słup i nie reagowała.

Napłynęły mi do oczu łzy.

- Bardzo cię lubię. Proszę, nie bądź na mnie zła. Nie chcę, żebyśmy przestały się przyjaźnić - wyrzuciłam z siebie.

Matylda niezdecydowanie pogłaskała mnie po plecach.

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj - powiedziała prawie niedosłyszalnie.

- Nigdy więcej! - przysięgam na wszystko, co było mi drogie, nawet gdyby przyszło mi to z trudem.

W pewnym sensie nasza kłótnia wyszła nam na dobre. Po tym, jak pojawiłam się u Matyldy bez zapowiedzi, przyjaciółka opowiedziała mi wszystkie szczegóły ze swojego życia, które zawsze zatajała.

Mama Matyldy od lat była alkoholiczką. Miała za sobą liczne kuracje odwykowe, ale wciąż wracała do nałogu. Tato Matyldy był przedsiębiorcą odnoszącym niesamowite sukcesy. Spełniał każde jej życzenie, które było możliwe do spełnienia za pomocą pieniędzy. Matyldy jednak już dawno nie interesowały prezenty od taty. Chciała, żeby był obecny. Ale taty nigdy nie było. Pracował do późna w nocy, wciąż wyjeżdżał w podróże służbowe, a jeśli zdarzało się, że przebywał w domu, to przynosił ze sobą mnóstwo dokumentów, zamykał się w swoim gabinecie i nie wyściubił z niego nosa. Rodzice Matyldy nie rozmawiali ze sobą i jedynym człowiekiem, który się o nią troszczył, była Caren, pomoc domowa.

- To okropne - jęknęłam przepełniona współczuciem, kiedy skończyła opowiadać.

- Ale nie chcę współczucia - napomniała mnie surowo. - Chcę być dla ciebie tym, kim byłam wcześniej, jasne?

- Jasne - odparłam. Przecież ja sama nie znosiłam współczucia.

- Wszystkiemu winien jest mój ojciec - powiedziała Matylda twardo. - Faceci sprawiają tylko kłopoty.

- To dlatego nie chcesz się nigdy zakochać? - spytałam ostrożnie.

- Gdyby ojciec wtedy nie zdradził mamy, to nie byłaby dziś taka, jaka jest - odrzekła Matylda i nastawiła płytę. Najwyraźniej ten temat był dla niej skończony.

Pomyślałam o swoim tacie i poczułam się niesamowicie szczęśliwa, że był zupełnie innym człowiekiem. Poza tym, że przy przeprowadzce normalnie mnie wykorzenił, nie mogłam się na niego skarżyć. Przynależałam sobie, że od tej pory będę dla Matyldy jeszcze miłsza. W końcu byłam jedyną bliską osobą, którą jeszcze miała na świecie.

W domu przy kolacji rodzice dziwili się, dlaczego patrzę na nich przez cały czas takimi sarnimi oczami i czytuję im w myślach życzenia.

- Dojrzewające dziewczynki są niezgłębione niczym górskie jeziora - filozofował tato.

- Kocham cię - oznajmiłam i tato się rozczulił.

Po kolacji usiadłam przy biurku, wzięłam arkusz ulubionego papieru listowego z kotkami i napisałam list do Anny.

Kochana Anno!

Chciałabym Ci wyjaśnić tę sprawę z najlepszą przyjaciółką. Wiesz, z powodu

przeprowadzki nie pozostawało mi nic innego, jak zacząć radzić sobie bez Ciebie. I możesz mi wierzyć, że to wcale nie takie proste. Byłaś i jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam i jaką można sobie wyobrazić. Teraz jednak jest również Matylda. Spójrz na to tak: mam jedną najlepszą przyjaciółkę w starym miejscu zamieszkania i drugą najlepszą w nowym. W ogóle nie można was porównać i nigdy nie przyszłoby mi do głowy lubić jedną z was bardziej od drugiej. Z Tobą łączy mnie całe dzieciństwo, z Matyldą - nowe życie tu, w Kolonii. Chciałabym, abys umiała to zrozumieć i nie była już na mnie zła. Bardzo Cię lubię.

Twoja najlepsza przyjaciółka Julia

Włożyłam kartkę do koperty, poszłam szybko do skrzynki pocztowej, pocałowałam kopertę i wrzuciłam list. Nic więcej nie mogłam zrobić. To, co napisałam, było prawdą, i mogłam mieć tylko nadzieję, że Anna to zrozumie.

Rzeczywiście, pięć dni później przyszedł od niej list, w którym wyjaśniała mi, że mnie rozumie. Jasne, że była straszliwie rozczarowana. Ale jeśli miała być szczerą, po moim wyjeździe zaprzyjaźniła się bliżej z Tatianą.

Natychmiast zadzwoniłam do Anny i przegadałyśmy całą godzinę. Rozmowa szybko zesłała na Carla.

- Jednego nie rozumiem - powiedziała Anna. - Skoro Carlo jest zakochany w Helen, a ty nie chcesz, żeby ona się w nim w końcu zakochała, to byłoby ci przecież na rękę, gdyby Helen miała szansę u Marca. No więc zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby się z nim poznała.

- Hm... - mruknełam.

- To przecież zupełnie proste - kontynuowała Anna. - Cora i tak uważa, że Marco się jej narzuca. Nie ma więc powodu, żebyś nie wykorzystała swoich kontaktów z Markiem i nie wyswatała go z Helen. Wtedy będziesz miała wolną drogę.

- Masz rację! - ucieszyłam się. - To jeszcze lepsze niż dręczenie Helen.

- Właśnie! - skwitowała z dumą Anna.

Moja Anna. Zawsze była dobra w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów, wszystko jedno, czy chodziło o zadania z matmy, czy - jak się teraz okazało - o komplikacje miłosno - techniczne.

CARLOROANIA

- Wszystko, byleby Marco zostawił mnie w spokoju! - stwierdziła Cora, kiedy opowiedziałam jej o radzie Anny.

- Musisz mi jednak pomóc! - zażądałam. - Przecież to ty go znasz!

Cora zacisnęła powieki i po trzydziestu sekundach podjęła decyzję.

- W porządku, ale pod warunkiem że nie zrobisz znowu czegoś okropnego!

Umówiliśmy się, że następnego dnia Matylda, Cora i ja podejmiemy pierwsze działania akcji „Marco - plus - Helen”.

Wystarczyło, że Cora obdarzyła Marca przelotnym uśmiechem, a już uszczęśliwiony Marco znalazł się koło niej, wygrzebał z kieszeni kolejną torebkę żelowych żabek i wykorzystując sprzyjającą okazję, spróbował wciągnąć Corę w rozmowę.

Zaczynała się moja rola. Wcale nie musiałam długo szukać Helen: stała już w pobliżu i zerknęła z zazdrością.

- Hej! - zaćwierkałam.

- O, cześć! - Helen dostrzegła swoją szansę. Właściwie postanowiłam sobie, że podczas naszej rozmowy podprowadzę ją dyskretnie do Cory i Marca, ale to nie było konieczne. Bez odrobiny wstydu Helen wzięła mnie pod ramię, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółkami, i pociągnęła mnie energicznie we właściwym kierunku. O mało nie zwymiotowałam. Gdyby nie służyło to słusznej sprawie, wyrwałabym się jej natychmiast i popędziła do najbliższej toalety, żeby umyć całe ramię. A tak znosiłam heroicznie swoje cierpienie, ucinając sobie z nią po drodze pogawędkę.

- Nauczyłaś się na dzisiaj matmy? - zaszcebiotała.

- Szczerze mówiąc, nie - odparłam z udawaną ufnością.

- Spójrz! - Teraz Helen udała zaskoczenie. - Tam jest twoja siostra!

- Ach, co za przypadek! - zatrajkotałam. - Chodźmy do niej!

Kiedy zbliżyliśmy się do Cory i Marca, dosłownie czułam w swoim ramieniu wstępujący w Helen niepokój.

- Cześć, pozwólcie, że was sobie przedstawię. Helen, moja siostra Cora, Marco.

Teraz była kolej Matyldy. Podeszła do nas niby przypadkiem.

- Coro, Julio, chodźcie tu na chwilę! - zawołała.

- Jasne - odparła Cora i zostawiłyśmy Helen samą z Markiem. Matylda wygadywała do nas jakieś bzdury, a my udawałyśmy, że to wszystko bardzo nas interesuje.

Cora miała sytuację pod kontrolą i od czasu do czasu zdawała nam relację.

- Rozmawiają... Ale Marco ciągle gapi się w moją stronę... Kurczę! Myślę, że on jej wcale nie słucha. Nie, odchodzi od niej. O rany! Idzie tu i już wyciąga z kieszeni żelowe żabki. Plan diabli wzięli, znów będę go miała na karku!

Rzeczywiście, do końca przerwy Cora nie zdołała pozbyć się Marca.

Na angielskim obserwowałam Helen. Wyglądała na nieszczęśliwą. Najwyraźniej też zauważyła, że nie miała szans u Marca. Prawie było mi jej szkoda, ponieważ dobrze wiedziałam, jak się czuła. Ale tylko prawie!

Po południu zrobiło się bardzo gorąco, więc umówiliśmy się z Matyldą, że pójdziemy popływać.

Na odkrytym basenie było istne piekło. Ręczniki przykrywały każdy skrawek wyschniętej na żółto trawy. Z niezliczonych głośników rozbrzmiewało tysiąc różnych melodii, zbijając się w kakofonię rytmów i dźwięków.

Mrużąc oczy, rozglądałyśmy się wokoło w nadziei na wolne miejsce.

- A niech mnie! - syknęłam do Matyldy. - Tam jest Carlo.

- I tuż obok niego cztery metry kwadratowe wolnej przestrzeni! - stwierdziła Matylda.

Od naszej rozmowy pogodziła się jako tako z moim zakochaniem.

- Sama musisz się przekonać, że wszyscy faceci to świnię - zdecydowała dopiero przed kilkoma dniami. - No więc czemu by nie na przykładzie tego Carla?

Byłam wprawdzie święcie przekonana, że mój Carlo nigdy nie okazałby się świnią, ale skoro Matylda tylko pod tym warunkiem była gotowa pozwolić mi na zakochanie się, nie chciałam wszczynać dyskusji.

Tolerancja Matyldy dla mojej carlomanii posunęła się nawet tak daleko, że przyjaciółka ciągnęła mnie na wolny kawałek trawy obok niego i jego kumpli. Próbowałam się zdecydowanie bronić, ale ona nie miała litości.

Rozłożyła nasze ręczniki i przytrzymała mnie.

- Im wcześniej zobaczysz, jacy naprawdę są faceci, tym lepiej - mruknęła.

Czułam się fatalnie w tej sytuacji. No, już bardziej pretensjonalnie nie dało się tego zrobić! Spróbowałam przybrać minę pt. „Nic nie wytrąci mnie z równowagi”, wyszedł mi jednak tylko jakiś żalony grymas. Modliłam się, żeby Carlo po prostu mnie nie zauważył.

Matylda zdejmowała właśnie spodnie i koszulkę. Spod nich wyłonił się strój kąpielowy, jaki widziałam ostatni raz, kiedy byłam z babcią w uzdrowisku Baden - Baden na zawodach pływackich emerytów. Ogromne, jaskrawe kwiaty na kostiumie przypominającym ponton. Matylda natychmiast przyciągnęła uwagę wszystkich leżących w pobliżu ludzi.

Szeptali między sobą i chichotali. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Co będzie, jeśli Carlo zobaczy ten monstrualny kostium? Ludzie, którzy zadają się z ludźmi noszącymi takie stroje, byli zdecydowanie nieodjazdowi dla skatera, no nie?

- Co jest? - spytała Matylda. - Czemu tak dziwnie patrzysz?

Co miałam jej powiedzieć? Matyldo, wyglądasz strasznie w tym pontonie? Nie mogłam tego zrobić. Z drugiej strony przysięgam sobie, że jej więcej nie okłamię. Czy powinnam się tego trzymać również wtedy, kiedy prawda zraniłaby ją bardziej niż kłamstwo z konieczności?

- Skąd masz ten kostium? - spytałam, nie wyrażając żadnej opinii.

Matylda zmarszczyła czoło i zacisnęła powieki.

- Coś ci się w nim nie podoba?

Wzięłam głęboki wdech. Teraz nie było odwrotu.

- Jeśli mam być szczerą, to uważam, że jest straszny. Nikt nie nosi już takich strojów. Masz przecież spore kieszonkowe. Dlaczego nie kupisz sobie czegoś nowego, takiego trochę bardziej na czasie?

Matylda nic nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie mówiło wszystko. Moim pytaniem dałam wyraźnie do zrozumienia, że byłam okropnie powierzchowna, i Matylda bardzo się mną rozczarowała.

- Przykro mi - szepnęłam. Matylda wzruszyła ramionami.

- W porządku.

- Nie, wcale nie w porządku. Jestem twoją przyjaciółką i powinno być mi totalnie obojętne, czy masz na sobie kostium od projektanta mody, worek na śmieci, czy paradujesz goła.

Matylda położyła się obok mnie. - Wiesz, Julio, kiedyś miałam zawsze najnowsze i najdroższe rzeczy.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

- Serio?

To wywołało w niej śmiech.

- Tak, serio! Nie spodziewałaś się tego po mnie, co? Przyłapała mnie. Teraz ja musiałam się roześmiać. - A dlaczego...?

- Dlaczego ubieram się teraz jak ostatni włóczęga? - przerwała mi Matylda.

- Ty to powiedziałaś!

- Wiesz, kiedy ktoś przeprowadzał się tak często jak ja i wciąż spotykał nowych ludzi w nowych szkołach, to w którymś momencie stwierdzał, że większość nie zwraca uwagi na

to, kim się jest, tylko na to, co reprezentuje się sobą na zewnątrz.

Skinęłam głową.

- I w którymś momencie doszłaś do wniosku, że nie masz już na to ochoty?

- Tak. Jeśli ktoś mnie rzeczywiście lubi, to jest mu obojętne, jak wyglądam.

Miała rację. Ogarnął mnie wielki wstyd.

- Myślisz teraz, że nie lubię cię naprawdę? Matylda pokręciła przecząco głową, a mnie niesamowicie ulżyło.

- Zrozumiałam - powiedziałam z powagą. Rzeczywiście zrozumiałam. A ponieważ Carlo był najfajniejszym chłopakiem na świecie, to na pewno osoby, które zadają się z ludźmi noszącymi takie pontonowate kostiumy, będzie uważał za cool, ponieważ on sam też nie zwraca uwagi na wygląd zewnętrzny.

Carlo grał z dwoma kolegami w skata i siedział bokiem do mnie. Ależ on miał profil! Oczarowały mnie szczególnie jego słodkie, pełne usta. Musiały być cudowne podczas całowania... Nie, żebym się już kiedyś całowała, ale wyobrażałam sobie, że to na pewno jest cudowne.

Odkąd byłam zakochana w Carlu, ćwiczyłam często przed zaśnięciem całowanie przedramienia. Nie oddawało wprawdzie pocałunków, ale przynajmniej było miękkie, ciepłe i pokryte miękkim puszkim. Na pewno taki był też puszek na górnej wardze Carla.

Sądząc z okrzyków radości, Carlo wygrał partyjkę skata, złożył karty i poszedł w stronę basenu.

- Ty też idź! - zachęciła mnie Matylda.

- Zwariowałaś?

- Dlaczego? To proste. Umiesz przecież świetnie pływać. Pokaż mu, jaka urzekająca kobieta ściele się do jego stóp!

Wyraziła się wprawdzie znów dość drastycznie, ale miała rację. Jeśli coś umiałam, to właśnie pływać.

Odważnie podeszłam do basenu, poczekałam, aż Carlo spojrzął przypadkiem w moją stronę i odbiłam się od krawędzi, wykonując doskonały skok startowy w wypełnioną ludźmi wodę.

Nie oglądając się na Carla, przepłynęłam dwadzieścia długości basenu kraulem i sześć długości na plecach. Przez cały czas, słysząc szum wody i zgrabnie wymijając chlapiących się, myślałam: „On cię obserwuje. Z całą pewnością przygląda ci się teraz”. Postanowiłam, że pokonując następną długość, zatrzymam się przy nim, tak niby przypadkiem.

Kiedy wprowadziłam to w czyn i nie będąc ani trochę zasapana, wynurzyłam się tuż

obok Carla, najchętniej zanurkowałamby od razu z powrotem. Obok niego była również Helen, która trzymała się krawędzi basenu i robiła idiotyczną gimnastykę w wodzie. Kurza twarz! Znowu ona.

- O, Helen, miło cię widzieć! - zawołałam.

- Och, Julia, też tu jesteś? - rzuciła od niechcienia Helen. Od czasu klapy z Markiem jej kiełkujące zainteresowanie moją osobą znów zanikło. Nie byłam jej już potrzebna, więc dlaczego miałyby się ze mną zadawać.

Na moment przemknęło mi przez myśl, że być może zrezygnuje teraz z Marca, ponieważ nie ma szans. A co będzie, jeżeli jednak zakocha się w Carlu?

- Ach, Helen, Marco pytał ostatnio, co u ciebie słychać! - skłamałam spontanicznie.

Podziałało.

- Naprawdę? Eee... no i? - wyjąkała. - Co dokładnie chciał wiedzieć?

Weisnęłam jej parę drobnych kłamstewek, wykorzystując przy tym okazję i uśmiechając się krótko do Carla. Dłużej nie zdołałam, bo jego spojrzenie przykleiło się do tej głupiej krowy.

- Ach, cześć, Carlo - powiedziałam mimochodem i niestety kompletnie spóźniona.

- Cześć - mruknął, nie odrywając wzroku od Helen.

W następnej chwili coś jednak zaabsorbowało uwagę Carla, ponieważ uśmiechnął się szeroko w stronę trampoliny.

Na pięciometrowej wysokości stał akurat ten głupek, Alexander, i robił z siebie małą. Wziął rozpęd, zahamował, podskoczył kilka razy na rozhuśtanej desce, a na koniec skoczył z głośnym krzykiem na główkę do basenu.

- Pomylenie! - rzucił Carlo, ale w jego głosie można było wyczuć sympatię. Czyżby uważał, że ten wstrętny typek jest fajny? Zgoda, odważny skok Alexandra z wysokości pięciu metrów też troszeczkę mi zaimponował. Byłam wprawdzie asem w pływaniu, ale bałam się śmiertelnie skoków z dużej wysokości. Jeszcze nigdy nie odważyłam się skoczyć z trampoliny wyższej niż metr nad wodą. Na samą myśl miękły mi kolana. Mimo to Alexander pozostał najgłupszym typkiem, jakiego znałam.

Helen wykorzystwała krótką nieuwagę Carla i odpłynęła. Kiedy to spostrzegł, wyszedł z wody, nie oglądając się na mnie ani razu. Kurczę.

Przeplątałam jeszcze jedną długość, żeby odreagować, i gdy ociekając wodą, wróciłam do Matyldy, opowiedziała mi, że Carlo pośpiesznie spakował rzeczy i poszedł.

- To wszystko na nic! - stwierdziłam zniechęcona. - On nigdy się we mnie nie zakocha.

Matylda wzruszyła ramionami. Nie powiedziała tego, ale wiedziałam, co pomyślała. Faceci sprawiają wyłącznie kłopoty!

- Już dawno nic nie słyszałam o tym miłym chłopcu, z którym siedziałaś, zanim przysłała do klasy Matylda - mimochodem zauważyła mama przy kolacji. - Jak on się nazywał? Albrecht?

- Alexander - mruknęłam bezdźwięcznie.

- Ładne imię - uznała mama.

Co tu się właściwie działo? Coś mi się nie podobało w głosie mamy. I co miały znaczyć te głupie pytania o Alexandra? W porządku, przez pierwsze dni w nowej szkole często opowiadałam jej zmyślane historyjki o Alexandrze. Że jest miły Ze się rozumiemy. Że pomógł mi w biologii. Ale czy to był powód, aby teraz o niego pytać?

- Dlaczego o niego pytasz? - zwróciłam się do mamy.

Uśmiechnęła się tak jakoś krzywo, pogłaskała mnie po ręce i spojrzała mi głęboko w oczy.

- Myślisz, że nie widzę, co się dzieje z moim zajęczkiem?

- A niby co się ze mną dzieje?

- Ledwie dziobiesz jedzenie. Prawie nic nie mówisz. Chowasz się w swoim pokoju. Wciąż coś omawiasz z Corą. Masz przede mną tajemnice. Jesteś zakochana.

Westchnęłam. Przed tą kobietą nic się nie ukryje.

- To nie Alexander. I żeby uściślić: Alexander jest najgłupszym obrzydliwcem, jakiego znam.

- Ale jesteś zakochana, prawda? - spytała mama pewna zwycięstwa.

- Hmm.

- No, nie każ się prosić - mama traciła cierpliwość.

- Ale obiecaj mi: nie powiesz „och, jak słoodko” z wielkiego wzruszenia, że twój zajęczek pierwszy raz się zakochał. A jeszcze ważniejsze, abyś za nic w świecie nie mówiła, że ci mnie żal. Nienawidzę, kiedy ludzie mnie żałują - wymamrotałam.

- Jest jakaś tego przyczyna? - spytała łagodnie. Nie powinna była tego robić. Natychmiast popłynęły mi z oczu łzy i w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Spojrzenie mamy aż ociekało współczuciem Moja dolna warga jednak za bardzo drżała, żebym mogła ostrzec ją po raz kolejny.

Cora do tej pory milczała. Teraz dotknęła ramienia mamy.

- Ma na imię Carlo. I kocha się w innej - wyjaśniła mamie.

Tego było za wiele. Wtuliłam się w objęcia mamy i pozwoliłam jej tak długo mnie

żałować, aż zabrakło mi łez.

Mama położyła mi zimne kompresy na spuchnięte oczy i opowiedziała naprawdę odłotową historię, którą jak dotąd trzymała przed nami w tajemnicy.

- Wiecie, że wasz tato zdawał akurat licencjat, kiedy ja byłam na pierwszym roku studiów. Natychmiast się w nim zakochałam i byłam w podobnej sytuacji jak ty, Julia. Zachowywałam się, jakby mi głos odjęło i wciąż kręciłam się w jego pobliżu. Ale wasz tato ani trochę się mną nie interesował. I było tak mniej więcej przez dwa semestry. Dowiedziałam się, że biegał za dziewczyną o imieniu Violetta. Możecie sobie wyobrazić, jaki gatunek dziewczyn kryje się za takim imieniem. Była baletnicą. Chuda jak patyk. Z długimi blond włosami. Nie miałam żadnej szansy. Przynajmniej tak myślałam.

W tym miejscu mama przerwała i zamyśliła się.

- Ale w końcu ją dostałaś, w przeciwnym razie ani Cory, ani mnie nie byłoby na świecie - spróbowałam nakłonić mamę do dalszej opowieści.

- Zgadza się. To się wydarzyło na imprezie na zakończenie semestru. Okropnie się wtedy upiłam.

- Mamo! - powiedziała Cora z udawanym oburzeniem i zachichotała.

- Tak, wasza mama miała burzliwą fazę w swoim życiu! - odparła z dumą. - Taaak. I podczas te, imprezy postanowiłam zapomnieć o waszym tacie i zacząć go ignorować. Tego wieczora po raz pierwszy zwrócił na mnie uwagę i natychmiast się we mnie zakochał. Mama westchnęła. Cora westchnęła.

Ja westchnęłam.

- Czyli istnieje jeszcze isierka nadziei dla mnie i dla Carla - stwierdziłam. - Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, że będę kiedyś w stanie go zignorować.

FACECI SPRAWIAJĄ SAME KŁOPOTY

Na matmie słuchałam tylko jednym uchem, natomiast resztę uwagi skupiałam na wypisywaniu w zeszycie litery C. C było przepiękną literą. Od kiedy byłam zakochana w Carlu, wszędzie widziałam C. Witamina C, C - dur, od C zaczynały się tak wspaniałe słowa, jak coca - cola, cukierki, czekolada. I Carla.

- Kto rozwiąże zadanie 7 c? - spytał właśnie matematyk, zaglądając do dziennika. - Juliane.

Ale na dźwięk niektórych C robiło mi się niedobrze. Ośmieszyłam się straszliwie, wypisując na tablicy jakieś bzdury. Mierny z minusem. Matylda pokręciła głową, kiedy skruszona wróciłam na swoje miejsce. Z mądrą miną postukała w mój zeszyt pełen C.

- Tak, tak - westchnęłam. - Wiem. Faceci sprawiają wyłącznie kłopoty.

Na następnej lekcji mieliśmy biologię. Pan Forster przez całą godzinę opowiadał o owadach i ich przemianie z jednego stadium w drugie. Z gąsienicy w motyla. Z larwy w chrząszcza. Bla bla bla.

Pod koniec lekcji wyjął ze swojej grubej, zatłuszczonej teczki słoik.

- Faj! Co to jest? - kwiknęła Helen w pierwszym rzędzie.

W słoiku kotłowały się żółtawe robaki.

- To są larwy mączników. Przekształcą się za jakiś czas w dorosłe mączniki - wyjaśnił nam pan Forster. - Podzielę was teraz na dwuosobowe zespoły i każdy zespół dostanie pod opiekę kilka larw. Chciałbym, abyście w ciągu najbliższych tygodni dbali o nie, obserwowali je i zapisywali wszystko, co widzicie.

Pan Forster wszedł pomiędzy ławki.

- Helen i Ann - Sophie. Carsten i Michael. Ria i Nora. Carmen i Matylda. Juliane i... - nauczyciel zerknął na rząd za mną - ...i Alexander. Będziecie pracowali w takich grupach.

- Chwileczkę - odezwałam się. - Czy można się zamienić?

- Nie, nie można - odparł pan Forster. - Tak was zapisałem i w takich parach macie pracować, Juliane.

Nienawidziłam naszego biologa. Jak mógł mnie połączyć z Alexandrem? Czy nie widział, że pasowaliśmy do siebie jak księżę Karol i lady Di? Czy chciał, żebym przedwcześnie umarła?

- Będziemy się spotykać codziennie o trzeciej u mnie - rozkazał Alexander, wyrastając przede mną ze słoiczkiem pełnym paskudnych robali.

- Pogieło cię? - napadłam na niego. - Myślisz, że mam ochotę oglądać cię codziennie po lekcjach?

To by do niego pasowało. Prawdopodobnie tylko czyhał na to, żeby codziennie o trzeciej robić mi jakiś nowy, obrzydliwy kawał. Ale nie ze mną takie numery! Wyrwałam mu słoik z ręki. Z kolei on wyrwał go mnie.

Pan Forster nie wyszedł jeszcze z klasy i obserwował z zainteresowaniem tę scenę.

- Jeśli sami nie umiecie się dogadać, to nie pozostaje mi nic innego, jak się wtrącić - oświadczył, a mnie się zdawało, że świetnie się przy tym bawi. - Proponuję, żeby panna Juliane i pan Alexander spotykali się codziennie po lekcjach na piętnaście minut tutaj, w pracowni biologicznej, i doglądali swoich larw! - Mówiąc te słowa, wyszedł z klasy z szerokim uśmiechem na twarzy.

- To wszystko twoja wina! - krzyknęłam wściekła na Alexandra.

- Ach tak? - mruknął w odpowiedzi. - A niby kto nie chciał współpracować?

Następnego dnia po lekcjach pomachałam tęsknie Matyldzie i mamrocząc pod nosem, poszłam do pracowni biologicznej. Ale koszmar.

- Jedzą mąkę - przywitał mnie Alexander, który już tkwił przykucnięty przy naszym słoiczku z larwami mączników.

- Aha - mruknęłam i również przykucnęłam, tyle że w bezpiecznej odległości od słoika.

- No to spadam! - rzuciłam, kiedy po dwóch minutach nic się nie wydarzyło poza tym, że nasze larwy opychały się mąką jak wściekłe.

Wstałam, chcąc zostawić Alexandra samego z larwami. I tak bardziej do nich pasował. Nawet był do nich podobny. Ale nie zaszłam daleko. Przed klasą stał pan Forster i uśmiechał się szeroko.

- Dokąd to, Juliane?

- Eee... hm... Chciałam tylko wpuścić trochę świeżego powietrza dla naszych maluchów - wyjąkałam.

Nauczyciel skinął głową.

- Aha. A ja już myślałem, że chcesz się wykręcić.

- O co mnie pan podejrzewa? - zaszczebotałam niewinnie jak ptaszek. Liczyłam się z tym, że Alexander mnie zdradzi, ale ku mojemu zdziwieniu trzymał język za zębami.

Codziennie po szkole siedziałam z Alexandrem w pracowni biologicznej i wgapiałam się w larwy, które z dnia na dzień stawały się coraz tłściejsze. Leniwie robiliśmy jakieś głupie notatki.

Jedzą.

Rosną.

Jedna zdechła.

Każdego dnia coraz trudniej było wysiedzieć w milczeniu przed stoikiem obok Alexandra. Nie patrzyliśmy na siebie, a kiedy mijało piętnaście minut, zrywaliśmy się z miejsc i wybiegaliśmy z klasy.

- Wciąż jeszcze jesteś zabujana w Carlu? - pewnego dnia przerwał nagle ciszę Alexander.

Byłam totalnie zdumiona, słysząc jego głos, tak bardzo przyzwyczyłam się już do naszego milczenia.

- Co cię to obchodzi? - warknęłam.

- To znaczy, że jeszcze jesteś - wywnioskował. Milczałam.

- A on wciąż jeszcze o niczym nie wie - kontynuował Alexander swoje spekulacje. - I tak się tobą interesuje, jak te larwy naszym zadaniem z biologii. To znaczy wcale.

Tego było za wiele! Chwyciłam pierwszy lepszy przedmiot, który wpadł mi w rękę - słoik z larwami - i rzuciłam nim z całej siły w Alexandra. Ten schylił się zwinnie i słoik roztrzaskał się z brzękiem o wyłożoną kafelkami podłogę.

- Oszalałaś?! - wrzasnął Alexander. Przerażona własnym czynem stałam jak sparaliżowana.

Alexander pieniał się z wściekłości.

- Mogłaś mnie zabić, ty głupia babo! - Szkoda, że mi się nie udało! Wreszcie bym się ciebie pozbyła!

Alexander patrzył na mnie z nienawiścią.

Krew uderzyła mi do głowy.

To, co właśnie powiedziałam, nie było zbyt miłe. Właściwie wcale nie chciałam być tak brutalna. Ale Alexandrowi po prostu udało się doprowadzić mnie do szału.

- Alexander, ja... - zaczęłam się tłumaczyć On jednak mi przerwał.

- To cię będzie drogo kosztowało - warknął ostro i wybiegł z klasy.

Łzy popłynęły mi po policzkach. Na podłodze wiły się bezładnie larwy mącznika. Szlochając, zabrałam się za zbieranie tych obrzydliwych robali, wkładanie ich do całego słoiczka i zmiatanie kawałków szkła. Podczas tej pracy zastanawiałam się, co mogły oznaczać ostatnie słowa Alexandra.

Co oznaczały jego słowa, stało się nagle jasne, kiedy następnego dnia na dużej przerwie stałyśmy z Matyldą przed szkołą. Zobaczyłam, że ten łajdak idzie wprost do Carla.

- Poczekaj - odezwałam się do Matyldy i pokazałam głową w kierunku Carla i Alexandra. - Czego ten pryszcz tam szuka?

Alexander pogrzebał w kieszeni spodni, coś z niej wyjął i wcisnął Carlowi do ręki. To była ta przeklęta karteczka, którą obrażona na mnie Matylda rzuciła na podłogę.

- O Boże! - szepnęłam bliska omdlenia.

Carlo przeczytał karteczkę i wzruszył ramionami. Alexander rozejrzał się, jakby kogoś szukając, ale zanim zrozumiałam i zdążyłam się ukryć, pokazał wyciągniętym palcem w moim kierunku. Carlo spojrział mi prosto w oczy. Potem mój rozum przestał pracować. Wybiegłam jak opętana z dziedzica. Nigdy więcej nie postawię nogi w tej okropnej szkole. Już nigdy więcej!

Biegłam, aż zabrakło mi tchu, przykucnęłam więc w zacienionej bramie wejściowej do jakiegoś domu. Wcale nie zauważyłam, że Matylda przez cały czas biegła za mną. Nie słyszałam nawet jej wołania. Matylda, której kondycja była nieco gorsza od mojej, klapnęła obok mnie na schodku, totalnie wyczerpana.

- O mój Boże! - wysapała, próbując desperacko zaczerpnąć powietrza i dotykając mojego ramienia.

- To najstraszniejsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w życiu - wychrypiałam. Byłam tak roztrzęsiona, że nie mogłam nawet płakać.

- Musimy wracać - powiedziała łagodnie Matylda. - Zaraz zacznie się lekcja.

- Nigdy więcej tam nie wrócę. Nigdy!

- To ja też nie wracam.

- Ale ty musisz wrócić - zaczęłam zaklinać Matyldę w nagłym przyływie energii. - Musisz wrócić i dowiedzieć się, co wydarzyło się po moim odejściu proszę!

Powlokłam się do domu i nakłamałam mamie, że bardzo źle się czuję. Uwierzyła mi. Nic dziwnego. Wyglądałam, jakbym natknęła się na samą kostuchę. Weszłam do łóżka, naciągnęłam na głowę kołdrę i słuchałam powolnego bicia serca. W tej sytuacji nie byłam zdolna do niczego innego.

Od wpół do drugiej zaczęłam się niepokoić. Lekcje się skończyły i lada moment zadzwoni Matylda, żeby mi wreszcie powiedzieć, co wydarzyło się po moim wyjściu.

Zadzwoiła o 14.34.

- Nic się nie wydarzyło? - spytałam z niedowierzaniem.

- Nic - powtórzyła Matylda cierpliwie. - Kiedy widziałam Carla po szkole, sprawiał normalne wrażenie, odjechał na swojej deskorolce. W klasie też nie działo się nic niezwykłego. Alexander siedział jak gdyby nigdy nic. Helen też wydawała się taka sama jak

zwykle.

Oczywiście wyobraźni widziałam, jak Carlo ze wszystkimi kumplami wbiega do naszej klasy i rozgląda się za mną, aby mnie skompromitować, Helen i jej załoga gładzą niczym kury, a Alexander dorzuca jeszcze: „Na pewno ryczy. Jak zwykle”.

Ale według Matyldy nic takiego nie miało miejsca.

- Ziemia normalnie kręci się dalej, Julio! - powiedziała.

- Mimo to i tak nie mogę wrócić do szkoły. On już o tym wie. Co mam zrobić, kiedy go spotkam? A przecież wcześniej czy później to się stanie.

Matylda westchnęła.

- Julio, jesteś śmieszna. Koniecznie chcesz go zdobyć, ale on nie powinien o tym wiedzieć. Szczerze mówiąc, jak to ma zadziałać? Powinnaś być wdzięczna Alexandrowi. Bądź co bądź sprawa wreszcie wyszła na jaw.

W taki sposób jeszcze na to nie patrzyłam. I wcale nie chciałam tak na to patrzeć.

To było straszne. Następnego ranka zdałam sobie sprawę, że nic by mi nie pomogło, gdybym została kilka dni w domu, udając chorą. Tego całego zamieszania nie da się cofnąć.

Aby dojść do swojej klasy i nie natknąć się na Carla, w szkole przemykałam się pod ścianami jak cień. W czasie lekcji unikałam wzroku Alexandra. Zranił bardzo głęboko moje uczucia i nie chciałam, żeby wyczytał to z moich oczu.

Po lekcjach musiałam się niesamowicie przemóc, żeby pójść do pracowni biologicznej. Kiedy tam weszłam, po Alexandrze nie było śladu.

Zamiast larw w mące kłębiły się teraz wstrętne, czarne paskudztwa. Patrzyłam na nie z obrzydzeniem przez dziesięć minut. Alexander wciąż się nie pojawiał. Przyszedł za to pan Forster.

- Jesteś sama?

- Alexander wyszedł do toalety - usłyszałam nagle swój głos.

Nauczyciel skinął głową i znów zostawił mnie samą.

„Chwila!”, otrząsnęłam się. Co ja zrobiłam? Nie mogłam tego pojąć, ale właśnie uratowałam tyłek człowiekowi, którego nienawidziłam najbardziej na świecie, człowiekowi, który wyrządził mi najstraszniejszą krzywdę. Co, u diabła, sobie przy tym pomyślałam? Mogłam przecież wsypać tego krety. Pan Forster wlepiłby mu pałę. Alexander może nie zdałby do następnej klasy i poz byłabym się go raz na zawsze. A co zrobiłam ja, kompletnie szurnięta idiotka? Wzięłam go w obronę.

Następnego dnia na biologii zespoły odczytywały notatki z hodowli larw. Dwanaście razy: jady, stawały się coraz grubsze, jedna zdechła, nagle przemieniły się w mączniki.

Alexander odczytał nasze notatki i nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem.

„Gdybyś wiedział, że uratowałam ci życie, ty śmierzący szczurze”, pomyślałam. Ale nie odezwałam się ani słowem.

- Zawsze byłeś za dobra dla świata - powiedziała Anna przez telefon, kiedy zrelacjonowałam jej historię ocalenia Alexandra.

- Jesteś po prostu za bardzo świrnięta - stwierdziła Cora.

- Coś się za tym kryje, tylko jeszcze nie wiem, co - wyraziła przypuszczenie Matyllda, która zaczęła się o mnie martwić. Na każdej przerwie musiała chodzić ze mną albo do łazienki, albo za salę gimnastyczną, żebym tylko nie spotkała Carla.

- Czy tak będzie już zawsze? - spytała mnie w końcu. - Owszem, tak będzie - odparłam z najgłębszym przekonaniem.

- Trzeba cię chronić przed samą sobą. - Matyllda odwróciła się na pięcie.

- Hej! - zawołałam spanikowana. - Dokąd idziesz?

- Na dziedziniec. Też możesz tam przyjść, kiedy poczujesz się samotna - odrzyknęła Matyllda i zniknęła.

„A to podstępna koza”, pomyślałam. „Doskonale wie, jak mnie podejść.”

I rzeczywiście. Po trzech dniach spędzania długich przerw samotnie za salą gimnastyczną miałam dość. Opuściłam kryjówkę i odważyłam się wejść na dziedziniec. Rzeczywiście. Matyllda stała na środku niczym statua i patrzyła w moim kierunku.

Kiedy zobaczyła, że nadchodzę, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Wygrałaś - powiedziałam przytłumionym głosem. - Gdzie on jest? Chcę to już mieć za sobą.

Matyllda wskazała za siebie. Stał tam Carlo ze swoimi kumplami. Westchnęłam ciężko i z desperacką odwagą ruszyłam prosto na niego. W głowie kłębiły mi się tysiące myśli. Będzie się śmiał. Powie, że nie życzy sobie mojej miłości. Krzyknie głośno, że jestem głupia.

Nic się nie wydarzyło. Carlo rzucił mi przelotne, właściwie nic niemówiące spojrzenie.

Nie był ani rozbawiony, ani zły, ani w ogóle jakiś. Był po prostu nijaki.

Wróciłam do Matylldy i wzruszyłam ramionami.

- Jestem mu tak obojętna, jak tylko można być obojętną.

Matyllda pogładziła mnie po policzku.

- Faceci...

- ...sprawiają same kłopoty. Wiem.

MIŁOSNE PODCHODY W KLUBIE

- No i? Chcesz teraz odpuścić? - spytała mnie szorstko Cora. - A co innego mi pozostaje?

- Może on jest zbyt nieśmiały. Może brak mu odwagi, żeby coś do ciebie powiedzieć.

- Chyba sama w to nie wierzysz.

Jak dotąd nie mogłam dostrzec w nim ani grama nieśmiałości. W kwestii zagadywania Helen miał w każdym razie ogromną wiarę w siebie i nawet setna odmowa nie powstrzymywała go od dalszych ataków i podchodów.

- Od teraz zacznę go ignorować - oznajmiłam obojętnym tonem.

- Świetna taktyka - roześmiała się Cora.

- W przypadku mamy podziiałała.

- To było sto lat temu! Wtedy wystarczyło upuścić chusteczkę i natychmiast dostawało się propozycję małżeństwa. - Bądź co bądź wtedy było romantycznie. A jak między tobą a Marcelem? Jakież postępy?

Cora przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

- Dziś wieczorem jest dyskoteka w klubie młodzieżowym.

- No i? - spytałam, bo Cora znów stała się zagadkowa. - Twój Marcel nie jest trochę za stary, żeby iść do klubu młodzieżowego?

- Zasadniczo tak. Ale dzisiaj będzie didżejem.

Ta moja siostra! Skąd miała te wszystkie informacje?

- Pójdę tam z dziewczynami, stanę przy pulpicie didżeja i zacznę narzekać, że to nudna impreza dla przedszkolaków - wyjawiała mi swój plan Cora.

- A co będziesz robiła na imprezie dla przedszkolaków? - spytałam sceptycznie.

Cora przechyliła głowę i spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem. Co miał oznaczać ten uśmiech? Z pewnością nic dobrego.

- No cóż, będę tam, bo muszę pilnować młodszej siostry!

- O nie! - krzyknęłam. - Beze mnie! Nie idę tam. Na pewno będzie tam Carlo. Jeżeli pójdę, to będzie wyglądało, że za nim latam.

Cora popatrzyła na mnie niewzruszona.

- Jesteś mi coś winna.

I miała rację. Ale mimo to w żadnym wypadku nie chciałam zrobić mojej siostrze tej przyjemności. Żądała ode mnie stanowczo zbyt wiele.

- I... - wyjąkałam, szukając z rozpaczą argumentów - mama na pewno mi nie pozwoli.

- Mamu!!! - krzyknęła Cora w tym samym momencie.

Mama pojawiła się w drzwiach.

- O co chodzi?

- Julia boi się zapytać, dlatego ja to robię. Miałabyś coś przeciwko temu, żeby poszła dziś wieczorem ze mną do klubu młodzieżowego? Będę na nią uważała przez cały wieczór i wrócimy najpóźniej o dziewiątej.

- Kiedy zaczyna się ta dyskoteka? - spytała mama.

- O siódmej.

- Do dziewiątej właściwie nie opłaca się iść - zauważyła ze śmiechem mama. - Przyjadę po was o dziesiątej.

Dlaczego musiałam mieć takich nowoczesnych, nieodpowiedzialnych rodziców, bez choćby odrobiny autorytetu?!

- Ale nikt z mojej klasy nie może tam wejść! - skłamałam z konieczności.

- Naprawdę? - zdziwiła się mama.

- Bzdura - włączyła się Cora. - Widziałam tam już Helen. I Alexandra.

Mamie wystarczyła ta informacja. Dałam sobie spokój z opowiadaniem jej, że w klubie w barze sprzedawane są narkotyki, że mogę paść ofiarą gwałtu i że w każdy piątkowy wieczór giną tam bez śladu przynajmniej trzy dziewczyny. Wzruszyłyby tylko ramionami.

Cora była zadowolona.

- Punktualnie za dziesięć siódma masz być gotowa. To był rozkaz.

Za dziesięć siódma stałam wyszykowana w przedpokoju. Rozległ się dzwonek. Cora otworzyła drzwi.

- Matyllda?

- Myślisz, że pójde bez wsparcia i spędzę cały czas sama w kącie, podczas gdy ty będziesz podrywać Marcela? - fuknęłam.

- W porządku, nie mam nic przeciwko - stwierdziła Cora.

Byłyśmy śmiesznym trio. Cora przygotowała się starannie: lakierem kolorującym zrobiła sobie rude pasemka, jej koszulka kończyła się wysoko nad pępkiem, a spódniczkę miała tak krótką, że właściwie mogła jej nie wkładać.

Ja ubrałam się w dzinsy i, za radą siostry, w obcisłą koszulkę z nadrukiem *KOZA*. Nie bardzo wiedziałam, czy będę się dobrze czuła z tym napisem, ale Cora mnie przekonała.

- To ci doda pewności siebie. Carlowi na pewno się spodoba!

Miałam niewiele do stracenia, więc uwierzyłam jej na słowo.

Matylda włożyła ogrodniczki z łątami w kwiaty. Poza tym nie była w najlepszym nastroju. Wizyta w klubie młodzieżowym bardzo odbiegała od jej wyobrażeń udanego wieczoru.

- Czego się nie robi dla najlepszej przyjaciółki! - westchnęła, kiedy ją błagałam, żeby z nami poszła.

W klubie kompletnie nic się jeszcze nie działo.

- O Boże, ale beznadzieja - szepnęła Cora. - Nie mogę pojawić się jako pierwsza!

Musiałyśmy więc spacerować z nią przez pół godziny dookoła bloku. Kiedy o wpół do ósmej wróciliśmy pod klub, przed drzwiami zebrała się już całkiem spora grupa ludzi. Cora odnalazła przyjaciółki i zniknęła nam z oczu.

W samym klubie, który znajdował się w piwnicy, było straszliwie duszno. Przyniosłam Matyldzie i sobie po coli i spróbowałam się wyluzować. Matylda stała z nachmurzoną miną. Przez to wcale nie było mi łatwo sprawiać wrażenie opanowanej i świetnie się bawiącej.

Cora zajęła z koleżankami strategiczną pozycję niedaleko pulpitu didżeja. Marcel założył niedbale słuchawki na jedno ucho i zmieniał muzykę. Robił to rzeczywiście nieźle, pomijając fakt, że jak dotąd nie zagrał jeszcze ani jednej piosenki Backstreet Boys.

Zauważyłam, że umizgi Cory nie były mu obojętne. Uśmiechnął się do niej kilka razy. Moja siostra była totalnie zdenerwowana. Prawdopodobnie jednak tylko ja to dostrzegałam, ponieważ znałam ją w końcu przez całe życie.

- Czego tu szukacie? - spytał głos, który rozpoznałabym wśród tysiąca innych. Helen i Ann - Sophie taksowały nas krytycznie wzrokiem.

- Coś ci się nie podoba? - mruknęła Matylda. - Ależ skąd, dziwię się tylko - odparła Helen.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby takie wieśniary jak wy umiały tańczyć.

- A ja nie wiedziałam, że można tańczyć ze ściśniętym tyłkiem - odpałam.

- Zaraz zobaczysz, kto tu umie lepiej tańczyć! - powiedziała Matylda zdecydowanym tonem i ruszyła prosto na parkiet.

„O, nie!”, pomyślałam. Nie do piosenki Britney Spears. Spodziewałam się, że w ciągu najbliższych pięciu minut Matylda stanie się pośmiewiskiem całego klubu. Wprawdzie nigdy nie widziałam, jak tańczy, ale przy całej sympatii do niej nie wydawało mi się, żeby umiała to robić.

I tu bardzo się myliłam. Matylda odstawiła na parkiecie taki taniec, że przyjemnie było na nią patrzeć. Zazwyczaj wydawała się ociężała, natomiast w tańcu stała się nagle lekka

jak piórko. O rany!

Obejrzałam się na Helen i spostrzegłam z satysfakcją, że ze zdziwienia opadła jej szczęka. Ruszyłam w jej stronę, żeby jej przygadać. Zanim jednak do niej doszłam, stanęłam jak wryta. Z tłumu wyłonił się nagle Carlo. Zobaczyłam, że prosi Helen, aby wyszła z nim na zewnątrz.

Ostrożnie jak kot wykradłam się za nimi. Carlo zaprowadził Helen w odludne miejsce za budynkiem. Starając się nie hałasować, ukryłam się za krzakiem w ich pobliżu.

- No więc - zaczął Carlo z opanowaniem - chciałbym cię o coś spytać. Czy będziesz ze mną chodzić?

Z mojej krtani wydobył się jakiś dziwny dźwięk. Ugryzłam się mocno w język. Ale tych dwoje i tak mnie nie słyszało.

Helen teatralnym gestem odrzuciła grzywę blond włosów na plecy i westchnęła.

- Carlo, jesteś naprawdę fajnym chłopakiem. Ale jesteś dla mnie za młody, rozumiesz?

Carlo zrozumiał. Nie mówiąc ani słowa, odwrócił się od Helen i z kamienną twarzą ruszył w moją stronę. Chciałam się rozpląszyć na ziemi, ale nie mogłam się ruszyć. Miałam tylko nadzieję, że nie zobaczy mnie, jak ukrywam się w krzakach. Niestety. Zdziwiony spoglądał przez sekundę prosto w moją twarz, pokręcił tylko głową i poszedł sobie.

I tak siedziałam sobie w krzakach i nie wiadomo już który raz wystawiałam się na pośmiewisko. Najchętniej pobiegłabym za nim i wytłumaczyła: „Wiesz, musiałam koniecznie do toalety, a wszystkie były zajęte. No to poleciałam w krzaki!”. Nie byłoby to co prawda najmądrzejsze, ale zawsze lepsze niż sterczenie w chaszczach i podsłuchiwanie, jak Carlo dostaje kosza od Helen. Nie wiedziałam, które uczucie jest cięższe do zniesienia: przykrość czy ból z powodu tego, że Carlo bardzo wyraźnie udowodnił właśnie, jak daleki był od zakochania się we mnie.

Chciałam już wracać. Helen poszła z powrotem do klubu, a ja postanowiłam wygramolić się na ścierpniętych nogach ze swojej kryjówki. Ale nic z tego nie wyszło. W tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stali Helen i Carlo, pojawiła się teraz inna para. Nie wierzyłam własnym oczom. To byli Cora i Marcel!

Cora gdała nerwowo jak spłoszona kurka:

- Jesteś naprawdę świetnym didżejem.

- Tak myślisz? - spytał Marcel i delikatnie popchnął moją siostrę na murek. Sam usiadł obok niej, objął ją bez żadnych wstępów i zaczął całować jak szalony. Pomyślałam, że chyba wzrok mnie myli. Całowali się z pewnością bez przerwy dobre pięć minut. Potem Cora się uwolniła.

- Opowiedz coś o sobie. Jakie masz hobby? - spytała i poznałam po jej głosie, że czuła się niepewnie.

- Ale ja nie chcę teraz mówić - stwierdził zdecydowanie Marcel.

Natychmiast zdałam sobie sprawę, że go nie cierpię. Znów chwycił moją siostrę za szyję i przyciągnął ją do siebie. Tym razem jednak Cora nie przytuliła się do niego, tylko bezwładnie opuściła ręce.

„Ona nie chce się całować”, pomyślałam w swojej kryjówce i zaniepokoiłam się. Prawa ręka Marcela wędrowała po plecach Cory. Lewa niczym błyskawica znalazła się nagle na jej biuście.

- Przestań! - wyjąkała Cora.

Co się z nią działo? Przecież normalnie była mistrzynią zdobywania posłuchu. Dlaczego pozwalała temu gnojkwowi na tyle przyjemności, jeśli sprawiało jej to przykrość?

- Nie lubisz tak? - wymamrotał Marcel, nie przerywając obmacywania mojej siostry.

- Nie moglibyśmy trochę porozmawiać? To wszystko dzieje się za szybko.

- Myślałem, że jesteś bardziej rozgarnięta niż te inne młode - szepnął Marcel.

Wścieklałam się. Wyskoczyłam z ukrycia, rzuciłam się w ich kierunku i stanęłam tuż przed nimi.

- Cora, wracamy już, idziesz z nami?

Marcel zrobił minę, jakby zaraz mieli mu wyjść z brzucha kosmici. Ale w oczach Cory widziałam całkiem wyraźnie, że była mi w tej chwili niesamowicie wdzięczna.

- Idę - powiedziała, uwolniła się z objęć Marcela i pomaszerowała ze mną do klubu.

- Głupie baby! - warknął za nami Marcel Odwróciłam się jeszcze raz, wypięłam piersi i pokazałam napis na koszulce – *KOZA*.

Zgarnęłyśmy Matyldę, która wciąż jeszcze płażała w ekstazie na parkiecie, i ruszyłyśmy do domu.

- Jeszcze nie ma nawet wpół do dziewiątej - odezwała się Cora. Starła się udawać opanowaną, ale cała drżała z oburzenia. - Mama nie musi się o tym dowiedzieć. Jasne?

Było jasne.

- I nie chcę więcej słyszeć imienia tego kretyna. Jasne?

Też było jasne.

Wałęsałyśmy się w ten letni wieczór po mieście, każda zatopiona we własnych myślach. Po drodze mijałyśmy szkołę. W milczeniu usiadłyśmy na chwilę na schodach przed wejściem.

- Trzeba przed nim ostrzec wszystkie dziewczyny! - oświadczyła Cora i splunęła z

pogardą na ziemię.

Pod wpływem impulsu chwyciłam torebkę Cory i wyjęłam jej szminkę.

- Jak ten gnojek ma na nazwisko? - spytałam.

- Cholera!

- Niecee, poważnie.

- Krümmeler* - odparła Cora. - Mogłam się tego po nim spodziewać, z takim nazwiskiem...

Wysmarowałam czerwoną szminką informację na szklanych drzwiach szkoły:

Marcel Krümmeler jest dupkiem. Dziewczyny, trzymajcie się od niego z daleka!

Cora przez chwilę przyglądała się w milczeniu mojemu dziełu.

- Będzie wiedział, że to ja - stwierdziła z powątpiewaniem. - Ale powinien o tym wiedzieć! - dodała, a w jej głosie zabrzmiała nieugiętość i zdecydowanie. Taką Corę znałam.

Kiedy przyszliśmy do domu, mama bardzo się zdziwiła, że wróciliśmy tak wcześnie. Skłamałyśmy, że jesteśmy okropnie zmęczone i wślizgnęłyśmy się do naszych łóżek.

Matylda i ja długo nie mogłyśmy zasnąć. Nagle otwarły się drzwi pokoju Cory.

- Znajdzie się dla mnie miejsce? - spytała zupełnie dziecinnym głosem.

- Jasne. - Przesunęłam się bliżej Matyldy i odchyliłam kołdrę. Cora wpełzła obok mnie i, milcząc, leżałyśmy upchnięte jak sardynki w puszce w moim dużo za wąskim łóżku.

- Dobrze, że to nie był twój pierwszy pocałunek - przerwałam w końcu ciszę.

- Był - wymamrotała Cora.

- Zawsze myślałam, że jesteś bardziej zaawansowana w sprawach chłopaków - przyznała cicho Matylda.

- Nie jestem - odparła Cora, a jej głos lekko drżał.

- Zawsze sprawiasz wrażenie takiej energicznej - stwierdziła Matylda.

- Wiecie, czego chciałabym od chłopaka? - spytała Cora, nie czekając na odpowiedź. - Żeby przynosił mi kwiaty. Żeby pisał do mnie listy. Żeby do mnie dzwonił i interesował się mną. I wtedy będę miała ochotę na całowanie się z nim.

Westchnęłam.

* Krümmeler - niem. krętacz.

MARCO BOHATER

W poniedziałek rano przed szkolną bramą panował wielki tłok. Marcel gorączkowo ścierał gąbką wiadomość o sobie. Ludzie jednak już ją przeczytali. Najpóźniej w południe będzie o tym wiedziała cała szkoła. Byłam zadowolona ze swojego pomysłu.

Podczas pierwszej lekcji wpatrywałam się w Helen, zawzięcie próbując dowiedzieć się, co takiego widział w niej Carlo. Po prostu tego nie rozumiałam. Jak tak interesujący, miły, cudowny chłopak jak Carlo mógł chcieć czegoś od Helen - aroganckiej, zmanierowanej i wstrętnej baby? Przecież nie zakochał się chyba wyłącznie w jej długich blond włosach i obfitym biuście?

Kiedy na drugiej lekcji wciąż jeszcze nie doszłam do żadnego wniosku, zerknęłam na Alexandra. Od czasu naszej wspólnej hodowli larw nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, nawet nie patrzyliśmy na siebie, odczuwałam wielki spokój, od kiedy ustały ataki z jego strony. Nie musiałam już mieć się przed nim na baczności i denerwować się z jego powodu.

Nie musiałam nawet ani trochę myśleć o nim. Mogłam teraz rozmyślać do woli o Carlu. Tymczasem jednak przestało to być takie piękne. Kiedyś wyobrażam sobie bardzo optymistycznie, jak cudownie byłoby głaskać go po puszystych włosach albo się z nim całować. Kiedy teraz o nim myślałam, nachodziły mnie zupełnie inne uczucia niż rozkosz - zakłopotanie, smutek, rezygnacja. On nigdy się we mnie nie zakocha.

Na pierwszej długiej przerwie snułam się z Matyldą po dziedzińcu. Od niechcenia rozglądałam się za Carlem, poświęcając jednak więcej uwagi Matyldzie.

- Gdzie nauczyłaś się tak świetnie tańczyć? - spytałam.

Matyldę wyraźnie ucieszył mój nieskrywany podziw.

- Ach, to długa historia.

- No to opowiadaj.

- Wcześniej, to znaczy... zanim... no wiesz... Moja mama była zupełnie inna - niesamowicie wesoła i zawsze pełna energii. Kiedy miała szczególnie dobry humor, włączała radio i tak jak stała, w fartuszkach czy szlafroku, zaczynała tańczyć. Okręcała mnie w kółko, pokazując mi, jak się rusza biodrami. Kiedy wchodził tato, zawsze się śmiał, brał mamę w ramiona i... - Matylda nagle zamilkła.

- I co? - spytałam.

- Ach, nic.

Z tonu Matyldy wynikało jednoznacznie, że **nie** odpowie już na żadne pytanie.

„I całował ją”, dokończyłam zdanie w myślach i zdałam sobie sprawę, że również rodzice Matyldy przeżywali kiedyś ze sobą piękne chwile.

Podeszła do nas Cora.

- Widziałaś, co działo się rano przy wejściu? - zapytałam ją z zadowoleniem.

Cora właśnie chciała odpowiedzieć, kiedy nagle zamknęła usta. W naszą stronę szedł Marcel, a wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

- Uważaj, młoda - warknął groźnie. - Uważaj, co robisz!

Zrobiło mi się słabo, o mało nie zemdlałam. Marcel nie wydawał się być w nastroju do żartów. Również Corze nie przyszła do głowy żadna riposta, która osadziłaby Marcela. I w tym momencie pomiędzy nim a moją siostrą pojawił się ktoś w całej swej okazałości. Marco.

- Lepiej ty uważaj. W przeciwnym razie będziesz miał do czynienia ze mną! - fuknął, nic sobie nie robiąc z tego, że Marcel był od niego o głowę wyższy i na pewno z dziesięć kilo cięższy.

Marcel uśmiechnął się szyderczo.

- Oho, znalazł się bohater! Miłej zabawy z panną niedotykalską.

Niedbale wetknął papierosa w usta i bez pośpiechu poszedł sobie.

Corze wyraźnie ulżyło. Marco sięgnął do kieszeni i wyjął obowiązkową torebkę żelowych żabek. Cora poczęstowała się i żując żabkę, patrzyła na Marca w zupełnie nowy sposób. Marco chyba to zauważył, bo urósł co najmniej o trzy centymetry.

Po południu przesłuchiwałam wszystkie płyty Backstreet Boys. Położyłam się na łóżku i śpiewałam razem z moimi idolami.

Kiedy Cora wyszła ze swojego pokoju, wiedziałam, co się wydarzy. Podbiegnie do odtwarzacza, Wciśnie przycisk OFF i burknie: „Czy w tym domu nie można mieć spokoju?”.

Ale, o dziwo, pomyliłam się. Usiadła na brzegu mojego łóżka i uśmiechnęła się.

- ...*the shape of my heart*... - zanuciła.

- Co ci jest? - zdziwiłam się.

- Nic - szepnęła i zupełnie niespodziewanie cmoknęła mnie w policzek.

Podczas kolacji przez piętnaście minut rozsmarowywała masło na kromce chleba. Tato, mama i ja wymieniliśmy pytające spojrzenia.

- Jeżeli wygrałaś w totka, to byłbym za tym, żebyś nas powiadomiła - zażartował tato.

Cora roześmiała się.

- A nie mogę mieć po prostu dobrego humoru, nie wywołując sensacji w rodzinie?

Mogła.

W ciągu następnych dni Cora zachowywała się coraz bardziej dziwnie. Kiedy

pewnego popołudnia wpadłam do jej pokoju - przyzwyczaiałam się wchodzić bez pukania, podobnie jak ona wpadała do mojego - leżała na łóżku z jakimś listem w dłoni, który spróbowała przede mną ukryć. Ale nie była dość szybka.

- Od kogo?

Cora przycisnęła list do siebie, nie odzywając się ani słowem.

Rzuciłam się na nią i chociaż nie udało mi się nawet dotknąć kartki papieru, zobaczyłam podpis.

Marco.

A obok duże czerwone serce. - Marco napisał do ciebie list miłosny? - zawołałam. - Co pisze?

Cora westchnęła i z rezygnacją wręczyła mi ust.

Kochana Coro,

w spódnicy, którą miałaś na sobie dzisiaj w szkole, wyglądasz naprawdę świetnie. Uważam, że w czerwonym jest Ci najbardziej do twarzy. Chociaż w innych kolorach też wyglądasz ładnie. Ale to wszystko jedna W każdym razie chciałem Cię zapytać, czy miałabyś ochotę pójść ze mną kiedyś na lody. Oczywiście ja Cię zapraszam. To obojętne, jakie lody będziesz chciała. Na matmie dzisiaj nic nie rozumiałem. Wiesz, mama nie jest moją najmocniejszą stroną. Jesteś o wiele lepszą uczennicą ode mnie. Ale wczoraj na meczu strzeliłem dwie bramki. Miałabyś kiedyś ochotę obejrzeć mecz? W niedzielę gramy u siebie. Ale może uważasz, że piłka nożna jest głupia.

Serdecznie Cię pozdrawiam,

Marco

- Ale on jest słodki! - zaćwierkałam. Miałam na myśli i list, i Marca.

Cora uśmiechnęła się szeroko.

- W pewnym sensie tak.

W niedzielę po południu Cora była niespokojna. Jedząc ciasto, wciąż patrzyła na kuchenny zegar, wzdychała, kręciła głową i wpychała do ust następny kawałek ciasta.

- Masz jeszcze jakieś plany na dziś? - spytała mama.

- Nieee - odparła Cora. - Żadnych. Przejrzałam ją. Toczyła wewnętrzną walkę, czy pójść na mecz, czy nie. Znałam to uczucie, kiedy człowiek nie potrafi się zdecydować ani na jedno, ani na drugie. Postanowiłam ją wesprzeć.

- Cora, a może poszłabyś ze mną na mecz? Chciałam sobie obejrzeć naszą szkolną drużynę.

Cora na moment zmieszała się, potem jednak zrozumiała moją małą pomoc w

podjęciu decyzji i rozpromieniła się.

- Skoro nalegasz - odpowiedziała, zerwała się od stołu i pobiegła do swojego pokoju, żeby się przebrać.

Mecz już się zaczął. Znalazłyśmy sobie miejsce na położonej wyżej łączce, z której dobrze widziałyśmy boisko. Ku mojemu przerażeniu w drużynie Marca grał największy obrzydliwiec wszech czasów. Alexander.

- Czy on musi być wszędzie tam gdzie ja? - zapytałam Corę.

Moja siostra nie zwróciła jednak większej uwagi na moje antyalexandrowe skargi. Ze skupieniem śledziła Marca, który bez wytchnienia biegał po boisku. Kiedy zerknął przelotnie w naszym kierunku i zobaczył, że Cora przysłała na mecz i go obserwuje, stracił nagle piłkę na rzecz przeciwników, którzy o mały włos nie strzelili bramki.

Od tej chwili Marco wydawał się grać tylko dla Cory. Jeszcze nigdy nie widziałam swojej siostry w takim stanie. W jej uśmiechu nie było ani grama sztuczności. Promieniała radością z głębi serca.

- Cora, ty jesteś zakochana! - oświadczyłam z przekonaniem.

Cora poczuła się przyłapana na gorącym uczynku.

- Bzdury. Zakochanie odczuwa się inaczej. Wcale nie czuję się jak przed klasówką z matmy.

- A może odczuwa się je zupełnie inaczej, kiedy jest się zakochaną w tym właściwym chłopaku?

Cora westchnęła.

Alexander strzelił decydującego gola i jego drużyna wygrała 3:2. Ten obrzydliwiec potrafił jednak wszystko. Skakać z trampoliny. Strzelać gole. Tylko niestety nie potrafił być normalnym człowiekiem.

Do Cory podbiegł Marco, kompletnie spocony i radośnie roześmiany.

- Idziesz... eee... idziecie z nami na colę? Będziemy świętować zwycięstwo.

- Jasne - odparła rozanielona Cora.

Siedziałam w gromadzie świętujących chłopaków, mieszałam palcem kostki lodu w coli i czułam się tu totalnie zbędna. Dla Cory liczył się tylko Marco. Wyjaśniał jej z niezmaconą cierpliwością przepisy dotyczące spalonego. Kiedy Cora drapała się w nos, Marco też drapał się w nos. Kiedy Cora podnosiła rękę, Marco robił to samo. „Zachowują się jak dwie szalone marionetki”, pomyślałam markotnie. Kiedy Cora chwyciła za szklanę, Marco chwycił za swoją. Pili równocześnie. W tej samej sekundzie odstawili szklanki na stół i kiedy cofali dłonie, dotknęli się na chwilę. Jednocześnie drgnęli i opuścili powieki. Przy

takiej ilości miłosnego gruchania było mi prawie niedobrze. Nie żałowałam siostrze tego, co ją spotkało, ale czy akurat ja musiałam się temu wszystkiemu przyglądać?

Ten głupi Alexander opowiadał po raz setny, jak sprytnie odebrał piłkę przeciwnikowi i strzelił decydującą bramkę. I chociaż wszyscy znali już jego historię na pamięć, pozostali chłopcy cieszyli się za każdym razem na nowo.

Alexander nie zaszczycił mnie ani jednym spojrzeniem. Zachowywał się po prostu tak, jakby mnie nie znał, jakbyśmy nie byli w jednej klasie, jakbym nigdy nie hodowała z nim larw mącznika, jakby mnie tu w ogóle nie było. Nie, żebym chciała z nim pogadać. Fuj! Ale to głupie uczucie być w ogóle niezauważaną.

Pociągnęłam Corę za koszulkę. Cora włożyła czerwoną bluzkę i czerwone szorty, a we włosach miała czerwoną spinkę.

- Ja spadam.

Cora skinęła głową. Jednakże sprawiała wrażenie, jakby treść moich słów nie dotarła do niej.

- Jestem mucha plujka - przetestowałam ją.

Znów skinęła głową z takim samym, głupawym uśmiechem. Beznadziejny przypadek. Ruszyłam więc w drogę do domu i spędziłam resztę wieczoru na słuchaniu Backstreet Boys.

Następnego dnia na pierwszej długiej przerwie Marco i moja siostra oficjalnie prowadzali się po szkolnym dziedzińcu za rękę.

- Nie kapuję - dziwiła się Matylda. - Przecież nie mogła go ścierpieć.

- Miłości nie można wytłumaczyć! - mruknęłam.

- Ale on i tak ją skrzywdzi, gdy minie pierwsze zakochanie - zakończyła temat Matylda.

Spojrzałam na Helen, która stała na drugim końcu dziedzińca. Gapiła się z niedowierzaniem na parę gołąbków.

- Na pewno zaraz pęknie ze złości - rzuciłam do Matyldy.

- Najwyższy czas, żeby wreszcie dostała po nosie.

Jasne, że ta głupia koza wyładuje teraz całą wściekłość na mnie. Skończyło się między nami tymczasowe zawieszenie broni.

Na angielskim pisaliśmy sprawdzian ze słówek. Byłam nieprzygotowana. To nie było do mnie podobne, ale w ostatnich dniach nie mogłam się normalnie skoncentrować. Dyskretnie zaglądałam do Matyldy i pisałam tyle, ile zdołałam podpatrzeć. Matylda zorientowała się, że nie miałam bez niej żadnych szans, i przesunęła swoją kartkę w moim

kierunku. Pani Ammerung niczego nie zauważyła. Czytała *Makbeta* w oryginale, jakby na świecie nie było niczego bardziej interesującego.

Było OK, dopóki Helen nie chrząknęła tak głośno, że nauczycielka podniosła zdziwiony wzrok. Matylda nie zdążyła na czas odsunąć swojej kartki. Pani Ammerung podeszła do nas, zabrała nam sprawdziany i postawiła mnie i Matyldzie pały. Helen uśmiechnęła się z satysfakcją. Ależ to jędza!

Na przerwie postanowiłam sobie z nią pogadać.

- Co to miało znaczyć?

- Niby co? - udała niewiniątko.

- Wkopałaś nas, ty zołzo. Nie potrafisz przegrywać!

- Niby o co ci chodzi? - zaperzyła się Helen.

- Dobrze wiesz, o co! Jesteś tak zazdrosna o moją siostrę, że aż ci to uszami wyłazi!

O rany, całe szczęście, że nie wiedziała nic o mojej miłości do Carla. Zarzucałam jej zazdrość, a sama byłam co najmniej tak samo zazdrosna, kiedy widziałam, jak Carlo wciąż ją adorował, pomimo kosza.

- Ja? Zazdrosna? - wrzasnęła Helen przenikliwie. - O tego głupka? Fantazja cię ponosi, wieśniaro!

To było jasne, że nie chciała się przyznać.

- Zostaw ją - powiedziała Matylda i odciągnęła mnie od Helen.

- Marco powiedział, że drużyna Bayernu Monachium jest o wiele lepsza od Borussia Monchengladbach! - stwierdziła Cora przy kolacji.

- Hm... - Tato przyjrzał się jej uważnie.

Było tak już od wielu dni. Marco powiedział to, Marco powiedział tamto. Marco uważa tak, Marco jest zdania, że owak.

- Marco powiedział, że będzie ćwiczył ze mną taniec na imprezę na zakończenie roku szkolnego.

- To miło z jego strony - rzuciła mama łaskawie.

- Ale - paplała dalej Cora - on wcale nie lubi tańczyć. Dla mnie jednak zrobiłby wszystko, tak powiedział.

Zakaszlałam głośno w nadziei, że zmienimy temat. Na próżno!

- Marco uważa, że jeśli się chodzi ze sobą, jest ważne, aby dzielić zainteresowania tej drugiej osoby.

- No i? - spytałam opryskliwie. - Zapiszesz się też do drużyny piłkarskiej?

- Bla bla bla! - zagdakała Cora. - Co cię ugryzło?

Mama westchnęła i zmarszczyła czoło. Prawdopodobnie zastanawiała się intensywnie, w jaki sposób mogłaby skierować rozmowę na grunt neutralny.

- A z kim ty będziesz tańczyć, Julia? - spytała. Niestety, tym pytaniem trafiła na bardzo mało neutralny grunt. A z kim niby miałabym tańczyć? Nie odzywałam się w nadziei, że Cora znów wystrzeli jakieś zdanie z serii „Marco powiedzia!” . Ale mama nie odpuszczała.

- Z Carlem?

- Nie! Nie z Carlem! - ryknęłam. - I jeśli chcesz dokładnie wiedzieć, wcale nie mam zamiaru iść na tę idiotyczną imprezę. Nie pójdę. Nie będę tańczyła. Nic z tego!

Zerwałam się z miejsca i pobiegłam do swojego pokoju. Już dawno tak się nie wkurzyłam, ale spuszczenie pary dobrze mi zrobiło. Zebrałam wszystkie pluszaki, jakie miałam, i zaczęłam rzucać nimi w ścianę pokoju.

- Zostawcie mnie w spokoju! - krzyknęłam. - Nienawidzę was!

Kiedy już odreagowałam, opadłam na dywan przed łóżkiem i spojrzałam na pobojowisko pełne moich pluszaków. Nagle zrobiło mi się ich tak strasznie żal, że zaczęłam płakać, zbierać je po kolei i gorąco przeproszać za okrutne traktowanie. A ponieważ byłam wobec nich taka podła, tego wieczora mogły wyjątkowo wszystkie spać ze mną w łóżku.

LANDRYNKA I MAŁA CZARNA

- To ty masz babcię? - spytałam zdziwiona, kiedy Matylda zawiadomiła mnie, że nie będzie jej przez cały weekend, bo wyjeżdża. - Nigdy mi o niej nie opowiadałaś.

- Tak, mam babcię, a nawet pasującego do niej dziadka.

Matylda czasami wciąż jeszcze była dla mnie zagadką. W jednej chwili miałam wrażenie, że znam ją na wylot, a w następnej zdawało mi się, że stoję przed zupełnie obcym człowiekiem.

- A gdzie mieszkają twoi dziadkowie?

- Na wschodzie. Pod Lipskiem, w takiej niedużej wiosce.

- Jedziesz sama?

- Z tatą.

- Matylda! Mam z ciebie wszystko wyciągać na siłę?

- Nie ma czego wyciągać! Jadę z tatą na weekend do dziadków. Co, do diabła, jest w tym takiego ciekawego?

Właśnie to chciałam wiedzieć, ale nie pytałam dalej. Matylda zachowywała się wprawdzie tak, jakby to były zwyczajne odwiedziny, ale przecież znałam ją. dobrze i zauważyłam, że jest podenerwowana. Znów pozostawały mi tylko własne spekulacje. Może babcia była chora i chciała zobaczyć wnuczkę ostatni raz przed śmiercią? A może chodziło o spadek?

Nudziłam się potwornie. Odkąd poznałam Matyldę, nie musiałam jeszcze nigdy spędzać bez niej całego weekendu.

Na Corę nie miałam co liczyć. Każdą wolną minutę spędzała ze swoim Markiem.

- Może wybierzesz się z nami? Jedziemy nad jezioro - zaproponowała uprzejmie.

W kwestii dobrych manier Marco wywierał na nią naprawdę znakomity wpływ.

- Nieee, dzięki. Nie chcę być piątym kołem u wozu - mruknęłam.

Miałabym może leżeć nad jeziorem obok pary gruchających gołąbków i nudzić się jak mops?

- Nie, to nie - zaczęła Cora z wyraźną ulgą w głosie i zniknęła.

- Co się z tobą dzieje? - spytał tato zdziwiony, kiedy z własnej inicjatywy chciałam mu pomóc w zamiataniu tarasu na dachu. - Nudzisz się?

- Bzdura - odrzekłam. - Chodzi mi tylko o trochę ruchu.

Tato jednak nie dał się zbyć tak łatwo.

- Zazwyczaj kiedy cię proszę o pomoc w pracach ogrodowych, to patrzysz na mnie, jakbym cię skazał na dziewięć lat ciężkich robót. A może nie masz zajęta, bo Matylda wyjechała?

- Nie. Po prostu miałam ochotę pobyc na świeżym Powietrzu - broniłam się bez przekonania.

Tato uśmiechnął się.

- A co byś powiedziała na małą rundkę na rowerze ze swoim starym ojcem?

- Hm... - Propozycja nie brzmiała wprawdzie zbyt zachęcająco, ale co miałam do wyboru? - W porządku, no to chodźmy pojeździć.

Wycieczki rowerowe z tatą były dalekie od relaksu. On nie jechał, żeby się wyluzować, on brał udział w Tour de France.

Po dziesięciu kilometrach szaleńczej jazdy przez las wyprzedziłam go ostatkiem sił i pomachałam ręką.

- Stop! Przerwa! W przeciwnym razie miałeś kiedyś córkę Julię!

Tato zahamował.

- Ups! Zdaje się, że znowu się zagalopowałem. Usiedliśmy na trawie i wsunęliśmy kanapki, które zapakowała nam mama razem z butelką zimnej herbaty.

- No i co tam, aniołku? - Tato wykorzystał nastrój pt. „Mamy teraz wreszcie czas na rozmowę taty z córką”. - Jaki jest stan rzeczy?

- A co masz na myśli, tato?

- Och, nic konkretnego, tak ogólnie.

- Ogólnie. Aha. No więc... ogólnie to mamy zupełnie znośną pogodę, a w szkole też leci całkiem nieźle.

Wiedziałam doskonale, że nie były to sprawy, o które pytał tato, ale wolałam utrzymać go w niepewności. Niech powie, co konkretnie chciał wiedzieć. To było bardzo pocieszne, z jakim trudem przychodziły mu pewne sprawy.

- A jak się wiedzie... eee... kobiecie, jaką teraz już jesteś?

Nie mogłam się dłużej powstrzymać i wybuchnęłam gromkim śmiechem.

- Tato! Jesteś słoooodki! Spojrzał na mnie niepewnie.

- A bycie słodkim to dobrze czy źle dla ojca?

Nie wiem, czy była to wina słońca, ale nagle poczułam wielkie ciepło wokół serca, objęłam tatę i przytuliłam go bardzo mocno.

- To wyjątkowo dobrze - oświadczyłam. - A jako kobiecie wiedzie mi się tak sobie. Mężczyźni sprawiają same kłopoty.

- Naprawdę? Hm. Ale ja chyba nie, prawda?

- Niecee, ty jesteś chwalebny wyjątkiem. Mam na myśli przede wszystkim jednego mężczyznę.

- Carla, prawda? - powiedział tato z dumą, jakby samo zapamiętanie imienia mojej miłości było wielkim osiągnięciem.

- Tato, posłuchaj. Załóżmy, że jakaś kobieta jest ci przez jakiś czas zupełnie obojętna. Nie uważałbyś jej za głupią, tylko byłaby ci po prostu obojętna. Czy mimo to mogłoby się zdarzyć, że zakochałbyś się właśnie w niej? Tylko dlatego, że przestałbyś kochać inną, która przez cały czas tkwiła w twojej głowie?

- A więc tak mają się sprawy - zauważył tato przenikliwie. Pokręcił głową. - Julia, aniołku, ja tego nie rozumiem. Jesteś śliczną, wesołą i inteligentną dziewczynką. Dam głowę, że tysiące chłopaków ustawiają się do ciebie w kolejce. A ty wyszukujesz sobie akurat takiego, który się tobą nie interesuje.

- Ależ, tato! Co ty wygadujesz? Nie ma żadnej kolejki. A nawet gdyby była, to ja chcę tylko Carla nawet jeśli to jest takie głupie.

- Jesteś zupełnie jak twoja mama - stwierdził tato i uśmiechnął się od ucha do ucha.

Matylda nie zadzwoniła do mnie w niedzielę wieczorem. Może wróciła do domu bardzo późno i już jej nie wypadało. A może nie. Wzrastał niepokój, jaki nosiłam w sobie, odkąd powiedziała mi o swojej babci.

Pałam się wręcz, aby spotkać się z nią wreszcie w szkole. Ale nie pojawiła się na lekcjach. Strasznie głupia sytuacja. Nie było w szkole mojej najlepszej przyjaciółki, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia dlaczego.

- Proszę pani... eee... czy nie wie pani przypadkiem, dlaczego nie ma dzisiaj Matyldy?

- spytałam wychowawczynię.

- Przeciąga się jakaś sprawa rodzinna - wyjaśniła mi. - Matylda wróci jutro.

Jakaś sprawa rodzinna. Co to znaczyło, do diabła? Musiałam poczekać na odpowiedź do następnego dnia.

- Tato pozwala ci na opuszczenie jednego dnia w szkole tylko dlatego, że w Lipsku była śliczna pogoda?! - wydarłam się. - Też bym chciała mieć takiego ojca!

Ups. Nie powinnam była tego mówić. Zamiana mojego taty, który jeździł ze mną na rowerze i mówił mi, jaka jestem śliczna i inteligentna, na tatę Matyldy, którego brakowało zawsze, kiedy go potrzebowała, byłaby piekielnie złym pomysłem.

Matylda również zdawała sobie z tego sprawę. Spojrzała na mnie ze złością.

- Możemy się zamienić, chętnie - wycodziła oschle. - Przepraszam...

- W porządku.

- A jak było u babci?

- Bardzo miło.

Nie mogłam pozbyć się uczucia, że Matylda zataja przede mną coś ważnego. Ale znów niczego z niej nie wydobyłam.

- Impreza na zakończenie szkoły jest tylko raz w roku, a ty nie chcesz na nią pójść! - Cora zdenerwowała się straszliwie. - Nie rozumiem cię, Julia.

Odkąd moja siostra chodziła z Markiem i rozkwitała z odwzajemnionej miłości, między nami panowały kiepskie stosunki. Nie potrafiłam znieść takich ilości cudzego szczęścia przez cały dzień, a Cora uważała ludzi, którzy nie są szczęśliwi, za w pewnym sensie dziwnych. Nie rozumiała, że nie miałam ochoty iść na imprezę szkolną, na której nikt nie będzie chciał ze mną tańczyć.

- Ja też nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tam iść - westchnęła mama. - Na pewno będzie wesoło.

- Na szkolnych imprezach dzieją się zawsze najbardziej szalone rzeczy - stwierdziła Cora. - Pomyśl tylko o imprezie semestralnej mamy.

- Chcesz mi wmówić, że coś takiego jest dziedziczne? - spytałam podenerwowana.

Cora wzruszyła ramionami.

- Kto wie!

- Poza tym Matylda nie chce iść. No to ja też nie idę.

To było kłamstwo. Kiedy ogłosiłam, że ta impreza nie interesuje mnie ani trochę, Matylda solidarnie zaproponowała, abyśmy zamiast tego urządziły sobie miły wieczór z ulubionymi filmami.

Przez kolejne dni w szkole w rozmowach dziewczyn dominował tylko jeden temat. Impreza. Impreza. Impreza. Już mnie to wkurzała.

Spacerowałam z Matyldą po dziedzińcu i robiłam minę, która bardzo odstawała od udzielanej mi kiedyś przez Corę lekcji „Nie dać po sobie poznać złego nastroju”.

- O, idzie mister Gwóźdź Do Trumny - rzuciła jak zawsze Matylda.

Przyzwyczała się mówić: „O, idzie mister Gwóźdź Do Trumny”, kiedy zbliżał się do nas Carla.

- Czarno to widzę, jeżeli nie zaczniesz powoli wybijać go sobie z głowy - oznajmiła wczoraj Matylda.

Jeśli miałam być szczerą, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż natychmiastowe wybicie sobie z głowy mister Gwoździa Do Trumny. Ale nie potrafiłam.

Także teraz serce zaczęło mi walić jak szalone tylko dlatego, że szedł w moim kierunku. Przecież on nawet na mnie nie spojrzył, minie mnie, a w moim sercu pozostanie to samo tępe uczucie, jak zawsze.

- Hej, idziesz na imprezę szkolną?

Nie wierzyłam własnym uszom. Chyba się przesłyszałam. Czyżby Carlo właśnie zapytał, czy idę na imprezę szkolną? - Jjjasne...

Boże, byłam szczęśliwa, że w ogóle udało mi się odpowiedzieć. Widziałam, jak Matylda unosi brwi. „Błagam, Matylda”, pomyślałam, „tylko nic teraz nie mów!”.

Moja przyjaciółka nie odezwała się. Dziękuję! - No to się zobaczymy. - Carlo odwrócił się na pięcie i odszedł.

- O Boże! - zakwiliłam. - Słyszałaś? - Nie jestem głucha - odparła sucho Matylda. - Zagadnął mnie! A może to mi się tylko śni? - Nie śni. A to wcale nie było wyznanie miłosne. Matylda nic z tego nie rozumiała. Carlo zagadnął mnie z własnej, nieprzymuszonej woli, chociaż już całą wieczność nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Zagadnął mnie, chociaż zdarzało mi się zachowywać w stosunku do niego już tak idiotycznie, jakbym była Miss Universum Idiotycznych Zachowań. Zagadnął mnie, ponieważ zapomniał o Helen i wreszcie zdał sobie sprawę, że mnie lubi.

- Potrzebuję jakiegoś wystrzałowego ciucha! - pisałam.

Matylda pokręciła głową, jakby miała do czynienia z osobą chorą psychicznie. - Ależ ty masz problemy! Rzeczywiście miałam problemy. Mama też pokręciła głową. Ku mojej rozpaczce była nieugięta.

- Budżet na twoje ubrania w tym sezonie został już wyczerpany, Julia!

Kupiłam sobie horrendalnie drogą, nieprzemakalną kurtkę sportową, w której można było jeździć na rowerze podczas deszczu. Od tamtego czasu ani razu nie padało i okropnie się denerwowałam z powodu chybionej inwestycji.

- A nie można by trochę pożyczyć z puli jesienno - zimowej? - lamentowałam.

W kwestii pieniędzy na ciuchy nasza mama była - wbrew swojej zwykłej naturze - twarda jak skała. Uważała, że dość wcześnie powinnyśmy nauczyć się gospodarowania pieniędzmi, a poza tym była przeciwna szalowi kupowania ubrań markowych, jak to nazywała.

A ja przecież nie chciałam niczego markowego. Chciałam tylko jakiś powabny ciuszek na tę przeklętą imprezę szkolną.

- Masz przecież swoje kieszonkowe - stwierdziła sucho mama.

- Ba!

Trzasnęłam drzwiami i pogodziłam się ze swoim losem. Następnie poszłam do banku i wypłaciłam z książeczki prawie wszystkie oszczędności. Trzydzieści pięć euro. Musiało wystarczyć.

W H&M panował stan wyjątkowy Przypuszczalnie we wszystkich szkołach w mieście miały się odbyć w najbliższych dniach imprezy i wszystkie dziewczyny stanęły przed trudnym zadaniem: wyglądać lepiej niż ich zajadłe rywalki.

- Czy to wszystko musi tak koszmarnie błyszczeć? - spytała z niesmakiem Matylda, podczas gdy ja kładłam na jej ręce stos koszulek i minispódniczek. Matylda miała cierpliwość do takich spraw. Ponieważ sama nie odczuwała potrzeby przymierzenia chociażby jednego ciucha, chętnie służyła za żywy wieszak, przynosiła ubrania w innym rozmiarze i zasuwiała zamki na plecach.

- Tak, koniecznie musi błyszczeć - odpowiedziałam, wciskając jej kolejną wyszywaną cekinami bluzkę.

W przymierzalni przeżywałam jedno załamane nerwowe po drugim. Za szerokie. Za wąskie. Za szerokie w biuście. Czy byłam tak niewymiarowa, że żadna spódnica czy bluzka nie chciały na mnie pasować?

Wreszcie znalazłam malinową bluzeczkę, która ani nie wisała, ani nie opinała. Przymierzyłam do niej białą dżinsową miniówkę, zapinaną z przodu. Leżało jak ulał!

- W porządku! - stwierdziła Matylda.

Widziałam po jej minie, że zgodziłaby się na wszystko, bylebyśmy tylko wyszły wreszcie ze sklepu i poszły do McDonalda na pozakupowy posiłek. Musiałam więc zdecydować sama.

- Landrynka w bitej śmietanie. Po prostu wystrzałowo.

Ten ironiczny głos dochodził z sąsiedniej kabiny i należał nie do kogo innego, jak do Helen. Miała na sobie małą czarną i ku mojej rozpaczy wyglądała w niej jak gwiazda filmowa.

- Pogrzeb w dzielnicy czerwonych latarni. Superekstrawystrzałowo! - odpaliłam.

Kupiłam malinową landrynkę w bitej śmietanie za dwadzieścia dziewięć euro i wydałam resztę oszczędności na obfite jedzenie w mojej ulubionej restauracji fast food.

BAL Z KSIĘCIEM

- Jestem taka zdenerwowana, że chyba zacznę krzyczeć - nadawałam w kółko w samochodzie.

Tato popatrzył we wsteczne lusterko na Matyldę i na mnie, potem na przednie siedzenie na Corę, i uśmiechnął się szeroko.

- Weźmiecie mnie ze sobą? - zażartował. - Wszystkie trzy wyglądacie tak ładnie, że na pewno nie zaszkodzi wam obecność ochroniarza.

- Jasne - roześmiała się Cora. - Nie marzyłam o niczym innym, jak o pójściu na szkolną imprezę z tatą.

Naprawdę wyglądałyśmy ekstra. Ja miałam na sobie strój landrynki w bitej śmietanie. Cora przyozdobiła mi włosy różowym pasemkiem i nastroszyła je. Mama pożyczyła mi swoje duże srebrne klipsy.

Cora włożyła nowiuteńką króciutką sukienkę dzinsową. Dokupiła do niej niebieską torebkę i taką samą wstążkę do włosów. Nawet jej cień do oczu był w kolorze dzinsu.

Natomiast Matylda założyła niesamowity kostium w tak dzikie wzory, że gdy patrzyło się na nią zbyt długo, zaczynało kręcić się w głowie. Cora spięła jej niesforne kosmyki w artystyczny kok. Nałożyłaby też srebrny cień na powieki, gdyby Matylda nie uciekła z krzykiem.

- Jesteśmy, moje panie - odezwał się tato, zupełnie jak szofer, kiedy zajechaliśmy pod szkołę. W podziękę za to dostał dwa buziaki w oba policzki i wilgotny uścisk ręki od Matyldy.

- Nie róbcie nic, czego ja bym nie zrobił! - zawołał za nami ze śmiechem.

Sala gimnastyczna była przyozdobiona balonami i girlandami. Woźny zamontował na suficie ogromną kulę dyskotekową, która kręciła się powoli, kierując na podłogę migające różnokolorowe światła. Muzyka grała już pełną parą, na długich rzędach stołów postawiono ciasta, kiełbaski i wazy z sokami. Oficjalnie na imprezach szkolnych nie podawano napojów alkoholowych, ale było oczywiste, że chłopcy ze starszych klas - jeśli w ogóle przychodzili jeszcze na „bal przedszkolaków” - potajemnie wnosili piwo.

Cora natychmiast pobiegła do Marca. Wynieśli się do spokojnego kącika i zaczęli się tam obściskować. Obydwoje mogli siedzieć godzinami w jednym miejscu i się całować.

Postawiłam na najbliższym stole misę sałatki ziemniaczanej, którą mama przygotowała na imprezę, i rozejrzałam się za Carlem. Gdzie on jest? Chyba się nagle nie

rozchorował? Nie mogłam sobie wyobrazić, co bym czuła, gdyby złamał nogę i nie przyszedł.

Matylda chciała już tańczyć.

- Idziesz ze mną?

- Niiiee. Wolę się czegoś napić.

Byłam za bardzo spięta, żeby tańczyć w miarę wyluzowana. Nalałam sobie trochę soku do plastikowego kubka i zapatrzyłam się na drzwi.

Najpierw zobaczyłam dumnie wkraczającą Helen. po swojej małej czarnej założyła srebrne sandały i wchodząc, zrobiła minę pt. „Oto wchodzi gwiazda wieczoru”.

„No tak, gdybyśmy byli w Ameryce, Helen na pewno zostałaby królową balu”, pomyślałam. W amerykańskich filmach o szkołach i uniwersytetach zawsze wybierano na królowe balu takie głupie, ale ładne kozy, jak Helen. Królem zostałaby Carlo. A ja, podpora ściany z bogatym wnętrzem, odeszłabym z kwitkiem. Ale w amerykańskich filmach pod koniec sytuacja zawsze się zmieniała. W podporze ściany zakochał się król, a potem żyli długo i szczęśliwie...

Zobaczyłam wchodzącego do sali Alexandra. Dzięki Bogu odszedł od drzwi tak szybko, że nie musiałam go dłużej oglądać. Przecież nie mogłam spuścić wzroku z drzwi ani na sekundę.

A potem pojawił się wreszcie Carlo. W swoim najzwyczajszym ubraniu skatera wyglądał po prostu zachwycająco.

Serce podskoczyło mi aż pod końce włosów. Czy podejdzie teraz do mnie? Może poprosi mnie do tańca?

Carlo rozejrzał się. Nie pytając mózgu o zdanie, moja prawa ręka uniosła się w górę i pomachała. - Kurczę, Julia, nie można trochę dyskretniej?”, pomyślałam.

Carlo zobaczył mnie i odmachął niedbale. W dalszym ciągu rozglądał się, szukając kogoś. „Pewnie chce się zorientować w sytuacji albo szuka swoich przyjaciół”, stwierdziłam. Jego wzrok musnął Helen. Arogancko patrzyła w innym kierunku. Już się przestraszyłam, że mimo to podejdzie do niej i zagada, ale się pomyliłam. Carlo obejrzał się na mnie, uśmiechnął się szeroko i ruszył wprost w moją stronę.

- Jesteś - rzucił.

- Tak, jestem - odparłam i skojarzyło mi się to trochę z „Tak, chce” w urzędzie stanu cywilnego.

- No to pójdziemy zatańczyć - powiedział Carlo. Skinęłam głową, „Wie, czego chce”, pomyślałam niefrasobliwie. „Właśnie dlatego nie pyta, tylko po prostu decyduje. O tak, potrzebuję faceta, który mi powie, jak znaleźć się w określonej sytuacji”, szybko zapewniłam

sama siebie i poszłam za nim na parkiet.

Carlo był świetnym tancerzem. Wykonywał coś pomiędzy hip - hopem a breakdance'em. Jego nogi chyba były z gumy. Ja natomiast musiałam wyglądać straszliwie głupio, stawiając nieporadnie nogę przy nodze. „Julia, wyluzuj”, myślałam rozpaczliwie. Ale to nic nie pomagało.

Rozejrzałam się. Matylda puściła do mnie oka. Ach, gdybym umiała tańczyć tak fantastycznie jak ona! Helen tańczyła z Ann - Sophie tuż obok nas. Ruszała biodrami tak elegancko, że z zazdrości zrobiło mi się gorąco. Za Helen tańczył Alexander. Nawet on wyglądał jak ucieleśnienie nonszalancji. Do ciężkiej cholery!

Kiedy piosenka dobiegła końca, zaczął się stary kawałek, *Careless Whisper* George'a Michaela. Na parkiet weszła teraz większość ludzi. Tak wolny utwór można tańczyć tylko w parach, inaczej wygląda się bardzo głupio. Nie wiedziałam, co robić. Miałam odejść?

A może poczekać, co zrobi Carlo?

Zastanawiałam się jeszcze, gdy Carlo po prostu chwycił moje ręce i położył je sobie na szyi. Tak zwyczajnie.

Trudno sobie nawet wyobrazić watek, w jaką zamieniły się moje nogi. Carlo przyciągnął mnie do siebie tak blisko, że musiałam przycisnąć policzek do jego policzka. Chaos ogarnął moje całe ciało. Płuca znalazły się tam, gdzie zazwyczaj serce, żołądek zjechał na miejsce wątroby. A krew zaczęła płynąć w odwrotnym kierunku.

Żeby tylko przestała tak drżeć! Ale Carlo zdawał się tego nie zauważać. Prowadził mnie po parkiecie powolnymi krokami. Zamknęłam oczy, ale natychmiast musiałam je znów otworzyć, bo zakreśliło mi się w głowie. Policzek Carla był orzeźwiająco chłodny w porównaniu z moim. Patrzyłam wprost w jego ucho. Kochałam to ucho.

Za uchem Carla wypatrzyłam Helen. Zezowała na nas i wyglądała jak chmura gradowa. „Głupia sprawa, kiedy wielbiciel nagle decyduje się na inną, co?”, pomyślałam dufnie.

Careless Whisper skończyło się o wiele za szybko. Carlo zdjął moje ręce ze swojej szyi i przez sekundę staliśmy zakłopotani naprzeciw siebie. Co się robi w takich sytuacjach? Czy miałam się teraz odezwać? A może było OK, że milczałam? Czemu te wszystkie damsko - męskie sprawy musiały być tak skomplikowane. Dlaczego z przyjaciółkami czułam się zupełnie inaczej? Przebywając z nimi, człowiek nie zastanawiał się nad każdym słowem i każdym krokiem.

- Wychodzimy na zewnątrz? - spytał nagle Carlo.

- Jasne - powiedziałam tak swobodnie, jak tylko mogłam w tej stresującej chwili.

Obejrzałam się na Matyldę i posłałam jej rozpaczliwe spojrzenie pt. „O mój Boże!”.

Matylda wzruszyła ramionami, co miało oznaczać: „W tym to ja ci nie pomogę”.

Carlo już ruszył, a ja podreptałam za nim. Przed salą gimnastyczną zebrało się kilka osób, żeby pooddychać świeżym powietrzem. Wśród nich była też Helen która w swojej krótkiej czarnej sukience stała pod ścianą sali i rozmawiała z chłopakami z równoległej klasy.

Carlo skierował się ku jednemu z przyjaciół. Musiał z nim gadać akurat teraz? Myślałam, że ukryjemy się we dwoje w jakimś spokojnym zakątku i porozmawiamy. Miałam nadzieję, że wtedy moje napięcie trochę ustąpi. Carlo zrobi coś zabawnego, coś, przy czym obydwójmy wybuchniemy wesołym śmiechem, a potem może...

Przyjaciel Carla nawet na mnie nie spojrzał, a Carlo ani myślał mnie przedstawiać. „OK”, pomyślałam, „prawdopodobnie przedstawianie kumpłowi dziewczyny nie jest na czasie”. Dziewczyna na pewno powinna zrobić to sama. Dlaczego byłam tak niedoświadczona w tego typu kwestiach? Pewnie dlatego, że w kręgach skaterów wszystko odbywało się inaczej niż między Matyldą a mną.

- Cześć, jestem Julia - powiedziałam do przyjaciela Carla.

Ten spojrzał na mnie zdumiony.

- No i dobrze - rzucił i uśmiechnął się dziwnie. Carlo też.

Ja też się uśmiechnęłam, co prawda trochę nerwowo, pewnie chodziło tu o jakiś wewnętrzny zwyczaj skaterów, a ja w żadnym wypadku nie chciałam się skompromitować, nie rozumiejąc go.

Carlo i jego przyjaciel, którego imienia wciąż jeszcze nie znałam, rozmawiali trochę o deskorolkach. Potem Carlo wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nigdy nie widziałam go palącego, teraz jednak wetknął sobie papierosa w usta, jego kumpel również, i kiedy podsunął mi paczkę pod nos, też wzięłam jednego.

Julia, na miłość boską, co ty wyprawiasz?”, pomyślałam z przerażeniem. Jeszcze nigdy w życiu nie paliłam papierosa! I aż do tej chwili nie miałam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek zacząć palić. Uważałam, że papierosy odrażająco śmierdzą, no i nie miałam ochoty nabawić się raka płuc. Teraz jednak stałam z papierosem w dłoni obok Carla i nie było odwrotu. Nie mogłam powiedzieć czegoś w rodzaju: „Ach, lepiej nie”.

Carlo podetknął mi zapalniczkę i spróbowałam trafić papierosem w płomyk.

- Ciągnij, nie dmuchaj - roześmiał się Carlo.

Zaciągnęłam się i w tym samym momencie pomyślałam, że za chwilę umrę. Fuj! To było ohydne! Zaczęłam kaszleć tak strasznie, że o mało nie wyplułam Płuc, a obydwaj chłopcy śmiali się do rozpuku.

„No, super, Julia, znów się popisałaś. Absolutnie do niczego się nie nadajesz.”

- Zazwyczaj palę camele - wykrztusiłam.

- Spoko, jasne - zaśmiał się bezimienny przyjaciel Carla.

Zaciągnęłam się jeszcze raz, próbując rozpaczliwie zatrzymać cały dym w ustach. „Do widzenia, zdrowa służówko”, pomyślałam.

Kumpel Carla klepnął go w plecy, mrugnął do niego, spojrzał na mnie jeszcze raz, uśmiechnął się krzywo i odszedł. Wreszcie zostałam sama z Carlem, nie licząc Helen, która wciąż jeszcze opierała się o ścianę w otoczeniu grupki ludzi. I nie licząc Alexandra, który właśnie wyszedł z sali gimnastycznej i gapił się na mnie złowrogo.

Carlo rzucił papierosa na ziemię. Nie wypalił go nawet do połowy. Od razu wyrzuciłam swojego. Chwała Bogu, że się go pozbyłam! Wciąż jeszcze nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa i im dłużej milczeliśmy, tym bardziej absurdalne wydawały mi się wszystkie zdania, które przychodziły mi do głowy. Jak tam w szkole? Masz fajnych nauczycieli? Co będziesz robić podczas wakacji? Czy można było stawiać takie głupie pytania, kiedy tańczyło się już policzek przy policzku?

- Chcesz się całować? - spytał Carlo, przerywając milczenie.

O Boże! Pewnie, że chciałam się całować. Niczego nie pragnęłam bardziej niż całowania się z Carlem! Ale teraz, kiedy zapytał o to wprost, poczułam, że kompletnie zaschło mi w ustach. Czy w takim stanie można się było całować?

Carlo zbliżył się do mnie o krok i położył jedną rękę na moich plecach.

- No więc? - wyszeptał.

OK To był ten moment, na który przez cały czas czekałam. Stałam przed Carlem, który już mnie objął i chciał pocałować. „Ciesz się, Julia”, powiedziałam sobie. A jednak wcale się nie cieszyłam. Serce waliło mi wprawdzie jak oszalałe, ale nie ze szczęścia, tylko dlatego, że nagle zapragnęłam stąd uciec. Kompletnie nie rozumiałam, co się ze mną działo. Wiedziałam tylko, że w żadnym wypadku nie chciałam całować się z Carlem.

On tymczasem przyciągnął mnie bliżej do siebie. Jego wargi znalazły się prawie na moich.

I wtedy odepchnęłam go z całej siły. Pobiegłam z powrotem na salę gimnastyczną, mijając Helen i Alexandra, który ze zdziwienia aż otworzył usta. Wbiegłam na parkiet i dostrzegłam tańczących wariacko Matyldę, Corę i Marca.

- Co się stało? - spytała Matylda, widząc zmieszanie na mojej twarzy.

- Pocałowałaś go! - ucieszyła się Cora, nie czekając na odpowiedź.

Pokręciłam głową.

- Chciał mnie pocałować. Ale mnie ogarnęło jakieś bardzo dziwne uczucie. I uciekłam.

Matylda wykrzywiła twarz w porozumiewawczym uśmiechu, Cora natomiast patrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Co ty mówisz? Uciekłaś? - Wciąż gapiła się na mnie, nie mogąc nic pojąć. - Facet, za którym biegasz od tygodni, chce cię pocałować, a ty uciekasz? Możesz mi powiedzieć, po co wymyślałyśmy te wszystkie plany, po co wysłuchiwałyśmy twoich lamentów, po co...

Cora mogłaby wyliczać jeszcze godzinami, ale widocznie zmieniła zdanie.

- Jakie dziwne uczucie? - spytała nagle.

- Wszystko wydało mi się nie na miejscu. Nieprawdziwe. Fałszywe. Sama nie wiem. W każdym razie wy. obrażałam to sobie zupełnie inaczej. I teraz już nic nie czuję do Carla! - rozkręciłam się na dobre. - I w ogóle. On jest strasznym gnojkiem! Nie raczył przedstawić mnie swojemu przyjacielowi! Pali papierosy! Nie powiedział mi ani jednego miłego słowa! On...

Teraz straciłam już panowanie nad sobą. Z oczu trysnęły mi łzy.

- Jak mogłam tyle czasu być zakochana w chłopaku, który jest tak obrzydliwym typem?

Cora i Matylda patrzyły na mnie zaskoczone. Marco czuł się chyba niepewnie w tej sytuacji. Chłopcy na ogół nie bardzo wiedzą, jak zachować się w obliczu wybuchu damskich uczuć.

Cora wzięła mnie pod prawe ramię, Matylda pod lewe.

- Jeśli to twoje odczucie było tak jednoznaczne, to dobrze, że go nie pocałowałaś - stwierdziła łagodnie moja siostra.

Matylda skinęła głową.

- Ale co mam teraz zrobić? - dopytywałam się. Odepchnęłam Carla i uciekłam. Czy nie byłam mu winna przynajmniej wyjaśnienia?

- Nie wiem, Julia - zastanowiła się Cora. - Skoro on jest takim gnojkiem, co chcesz mu jeszcze wyjaśniać?

- Bądź co bądź chciał mnie pocałować. Jak byś się poczuła, gdybyś chciała kogoś pocałować, a ten ktoś by cię odepchnął?

Przekonałam ją. Matylda wzruszyła ramionami. Wystarczająco często ogłaszała swoje zdanie na temat facetów i najwyraźniej nie miała tu nic nowego do powiedzenia.

- Wyjdę i powiem mu po prostu, że... że...

No właśnie, co chciałam mu powiedzieć? Carlo, tygodniami byłam w tobie zabujana

po uszy, ale teraz stwierdziłam nagle, że coś się jednak nie zgadza, dlatego cię nie pocałowałam? Na pewno uważał mnie za histeryczkę.

I kiedy jeszcze rozważałam całą sytuację ze wszystkich stron i rozmyślałam, jak mu to wyjaśnić, moim oczom ukazał się niewiarygodny widok. Przez drzwi wejściowe wkroczyli Helen i Carlo. Helen śmiała się, najwyraźniej rozbawiona żartem Carla. Natychmiast wściekłam się na nią piekielnie. Skąd to nagle zainteresowanie Carlem? Mogła go przecież mieć w każdej chwili. Ale dopiero w momencie, kiedy on chce mnie pocałować, ta głupia krowa zjawia się ni z gruszki, ni z pietruszki? Kurczę, ale byłam wkurzona.

Podeszłam do nich.

- Carlo, czy mogłabym z tobą pogadać w cztery oczy?

Helen z pogardą pokręciła głową.

- Powiedz, Julia, czy ty nie masz ani odrobiny godności? Musisz chyba wiedzieć, kiedy trzeba dać sobie spokój, no nie?

- Co proszę? - mruknęłam.

Co miała na myśli ta idiotka? Właśnie dowodziłam swojej godności, chcąc wyjaśnić Carlowi tak nagłą ucieczkę.

- Rzucasz się chłopakowi na szyję, próbujesz go pocałować wbrew jego woli, zostajesz odrażona, a potem znów przypelzasz? Czy to nie jest kompletny brak godności?

W mojej głowie eksplodowały chyba jakieś komórki nerwowe. Dostałam napadu szału.

- To ja go odepchnęłam! - wrzasnęłam.

W mgnieniu oka zebrała się wokół nas grupka gapiów. Zwęszyli, że lada moment zobaczą tu niezły show.

Helen roześmiała się sztucznie.

- Ha, ha, jasne. Carlo opowiadał mi właśnie, że od tygodni za nim latasz. I teraz mamy ci uwierzyć, że to ty go odepchnęłaś?

- Ale tak właśnie było! - zawołałam, a mój głos przeszedł w pisk. - Carlo! Powiedz, że tak było!

Carlo uśmiechnął się tylko głupio i powoli pokręcił głową. W tym momencie Helen go objęła. Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Twarz Carla rozpromieniła się, a wszyscy zgromadzeni szeptali i śmiali się. W środku tłumu zobaczyłam Alexandra.

Alexander! Był moją ostatnią szansą. Przez cały czas, który spędziłam z Carlem przed salą gimnastyczną, nie spuszczał mnie z oka. Musiał widzieć, że to ja odepchnęłam Carla.

- Alexander! - ryknęłam i wyciągnęłam go na środek areny. - Ty wszystko widziałeś! Możesz zaświadczyć, że nie kłamię!

Alexander patrzył na mnie oniemiały. W tym momencie Helen znów wybuchnęła śmiechem.

- Jasne! Jesteś bezkonkurencyjna, Julia! Teraz i Alexander ma dla ciebie skłamać, chociaż zawsze uważałaś go tylko za wstrętnego typka!

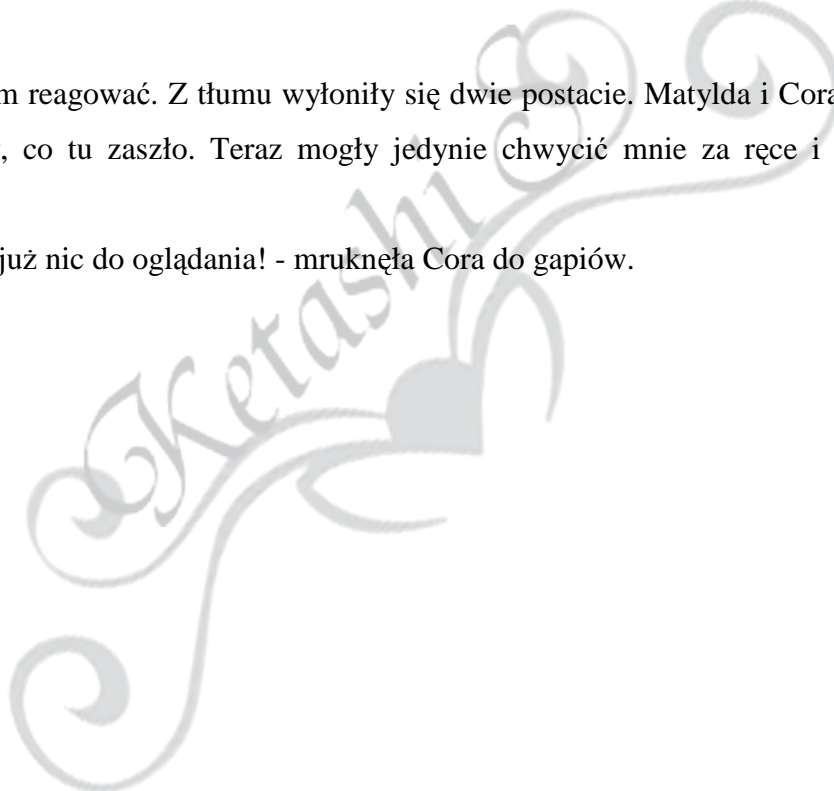
Oczy Alexandra zwięziły się.

- Wiesz co, Julia? Nie mieszaj mnie w swoje historie damsko - męskie. I trzymaj się ode mnie z daleka! - wycedził lodowatym tonem i odszedł, torując sobie drogę przez tłum gapiów.

- Och, Julia, ty naprawdę jesteś do niczego. - Helen odwróciła się ode mnie. - Chodź, Carlo, idziemy.

Przestałam reagować. Z tłumu wyłoniły się dwie postacie. Matyllda i Cora zbyt późno się zorientowały, co tu zaszło. Teraz mogły jedynie chwycić mnie za ręce i odciągnąć z tamtego miejsca.

- Nie ma już nic do oglądania! - mruknęła Cora do gapiów.



SŁODKI SMAK ZEMSTY

Tego wieczora nie chciałam już rozmawiać o szkolnej imprezie. Co było jeszcze do powiedzenia? Przed całą szkołą zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Julia, natrętna kretyńska bez krzty godności. Nikt mi nie wierzył. A ja nie miałam żadnych dowodów, żeby wyciągnąć prawdę na światło dzienne. Dlaczego zawsze przytrafiały mi się takie rzeczy?

Cora przytuliła mnie.

- Nie martw się, siostrze. Znajdziemy jakieś rozwiązanie, zobaczysz.

Cora nie traciła optymizmu nawet wtedy, kiedy wszystko legło w gruzach. Jeszcze raz uśmiechnęła się do mnie pocieszająco i zniknęła w swoim pokoju.

Matylda prawie się nie odzywała. W milczeniu założyłyśmy piżamy i położyłyśmy się do łóżka.

- Wiem, co myślisz - szepnęłam. - Zawsze mi to powtarzałaś. Faceci sprawiają tylko kłopoty. A zakochanie to kompletna głupota.

Matylda spojrzała na mnie ciepło i wzruszyła ramionami. Nie powiedziała jednak ani słowa.

- I wiesz co? - mówiłam dalej. - Miałaś cholerną rację. Ale musiałam sama się o tym przekonać.

- Ach, Julio - westchnęła Matylda.

- Chciałabym, żebyśmy sobie coś przysięgły, Matylda! Przysięgnijmy na naszą przyjaźń, że nigdy więcej się nie zakochamy, OK?

Twarz Matyldy rozpromieniła się.

- Fantastycznie, jestem za! W końcu mamy siebie. Nie potrzebujemy chłopaków. Zgadza się?

- No jasne!

Klucha w moim gardle troszeczkę się skurczyła. Matylda usiadła na łóżku i uroczyście uniosła dwa palce do przysięgi. Zrobiłam to samo. Przysięgłyśmy. Potem wtuliłyśmy się w poduszki i Matylda pogładziła mnie po plecach. Wiedziała, że to lubię i że była to stuprocentowa metoda na uspianie mnie. Tym razem jednak nie pomogła. Dlatego po dłuższej chwili zaczęłam głęboko i ciężko oddychać, żeby udać przed przyjaciółką sen. Złapała się na to i kilka sekund później już cichutko chrapała. Kochana Matylda, nie chciała usnąć, zanim nie odesłała mnie głaskaniem w krainę snów.

W krainie snów też trochę się działo, kiedy po kilku bezsennych godzinach, gapieniu

się w ścianę i gonitwie nieprzyjemnych myśli wreszcie zasnęłam.

Śniła mi się klasa. Alexander przywiązał mnie do stojaka na mapy i tańczył wokół mnie. Rycz! Rycz! Na mojej koszulce błyszczał wielki napis: *NATRET*. Z przymierzalni, która nie wiedzieć czemu znajdowała się na końcu klasy, wyszła Helen ubrana w landrynkoworóżową suknię ślubną. Carlo we fraku nadjechał na deskorolce. Nie mógł zahamować i z szaloną prędkością pędził wprost na mnie! Zamknęłam oczy i rozpaczliwie krzyknęłam: „Nieeeeeee!”.

Kiedy obudziłam się złana potem, Matylda akurat stawiała przede mną tacę ze śniadaniem.

- Przyśnił ci się jakiś koszmar.

Cora weszła do pokoju ze szklanką świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego.

- Rodzice pojechali na targ.

To mnie uspokoiło. Dzięki temu miałyśmy czas, aby wykorzystać sobotni poranek na omówienie mojej sytuacji, i nikt nam nie będzie w tym przeszkadzał.

- Ani słowa rodzicom! - ostrzegłam siostrę.

- To przecież oczywiste.

Cora sama doskonale wiedziała, że mama nie darowałaby tej okropnej niesprawiedliwości wyrządzonej jej małemu zajączkowi. Można by się po niej spodziewać, że zmyłaby głowę rodzicom Carla i zmusiłaby ich, aby syn zamieścił sprostowanie w gazecie.

- No to co robimy? - spytała Cora, podczas gdy smarowałyśmy chleb konfiturami.

- Myślę, że to wszystko wygląda raczej beznadziejnie - powiedziałam słabym głosem.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Ktokolwiek to jest, mnie nie ma! - zawołałam przestraszona.

W następnej chwili zdałam sobie sprawę z tego, jak głupio się zachowywałam. A niby kto to miałby być? Carlo? Helen? Bzdura. Przecież nie dzwoniliby do mnie.

To był Marco. Cora rozmawiała z nim dość długo. Mówiła tylko: „Serio?”, „O Boże!” i „Ale świnię!”. Poznałam po wyrazie jej twarzy, że nowiny miały coś wspólnego ze mną.

- Helen i Carlo obściskiwali się wczoraj jak szaleni. Są teraz parą - westchnęła Cora. - Jeśli o mnie chodzi, Julia, to myślę, i wszystko jedno, jak brutalnie to zabrzmie, że Carlo chciał tylko urządzić przedstawienie w obecności Helen. Zaplanował, że cię pocałuje, aby wzbudzić w niej zazdrość. A kiedy to mu nie wyszło, zapewne powiedział jej, że nigdy nie chciał pocałować żadnej innej, tylko jej, pięknej Helen.

Przełknęłam głośno ślinę. Nie dało się ukryć, że to, co mówiła Cora, trzymało się kupy.

- Naturalnie ponizeniem Julii Carlo sprawił Helen największą radość. Teraz Helen z nim chodzi, ponieważ załatwił Julię. O rany, ależ to żałosne! - uzupełniła Matylda.

- A ja, głupia krowa, myślałam, że on jednak się we mnie zakochał - pokręciłam głową.

- Byłaś zakochana w tym gnojku. Nic dziwnego, że tego nie zauważyłaś - próbowała mnie pocieszyć Cora.

- Coś zauważyłam. Niestety, zbyt późno.

Przez długą chwilę żadna z nas nie mogła wydusić z siebie słowa. Przeszedł nam apetyt.

I nagle poczułam w brzuchu uczucie, którego dotąd nie znałam.

- Muszę się zemścić! - powiedziałam zdecydowanie. - I chcę przywrócenia mojego honoru. Wszystko jedno, ile mnie to będzie kosztować.

Cora roześmiała się.

- Takiej cię nie znam!

Matylda wzięła kromkę chleba i zgmiotła ją w dłoń. - Jeszcze pożałują!

Decyzja zapadła. Teraz trzeba było tylko wymyślić plan.

- Na pewno tego nie zrobię! - Marco był prawie wytracony z równowagi, kiedy Cora wyjawiała mu nasz plan. Wyraźnie czuł się zapędzony w koziego róg. Trzy pary dziewczęcych oczu wpatrywały się w niego z wyczekiwaniem.

- Musisz! - oznajmiła Cora słodziutkim głosem. - Wszystko inne wzbudzi w nim jeszcze większe podejrzenia!

- Nie mogę... No, nie mogę... - Marco nie wiedział już, jak się bronić.

Cora ujęła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- To zaledwie godzina, może mniej. Spotkasz go gdzieś zupełnie przypadkiem. Zaczniecie gadać ze sobą i powiesz, że ze mną zerwałeś, bo... bo... jestem natrętna.

Cora rzuciła mi krótkie spojrzenie.

Skinęłam głową i przejełam pałeczkę.

- Potem on powie, że wszystkie Seegerówny to natrętne baby. I mała, i duża. Wtedy musisz się roześmiać i przybić piątkę, na znak przyjaźni. Coś w rodzaju zbratania się.

Marco westchnął z niechęcią. Cora mrugnęła do mnie i dokończyła przedstawiać plan:

- No i wreszcie musisz go skłonić, żeby ci opowiedział tę historię z Julią. Tylko pamiętaj, masz zapytać: „Jak załatwiłeś tę młodą?”. Ten kretyn wyzna ci wszystko, a ponieważ będziesz miał w plecaku dyktafon, Julia zdobędzie niepodważalny materiał dowodowy.

- Wszystkie jesteście stuknięte! - lamentował Marco. - On się na to w życiu nie nabierze.

- Powodzenie planu zależy od twojego talentu aktorskiego - włączyła się do rozmowy Matylda. - Będziemy ćwiczyli tak długo, aż staniesz się przekonujący.

Marco wciąż jeszcze miał opory.

Wreszcie Cora musiała zastosować inne środki.

- Proszę, zrób to dla mnie. Nie mogę znieść, że Julia cierpi z powodu tego bezczelnego kłamstwa. Bądź moim bohaterem, dobrze?

Jeszcze przez chwilę mu schlebiała, aż wreszcie ze słabym uśmiechem skinął głową.

- No dobra, spróbuję.

Resztę weekendu spędziłyśmy na próbach wykrzesania z Marca marnych talentów aktorskich. Wciąż odgrywaliśmy tę samą sytuację. Demonstracyjnie zakazałyśmy rodzicom wstępu do naszych pokoi, przez co zarobiłyśmy mnóstwo zdziwionych spojrzeń. Udało nam się jednak utrzymać nasz plan w tajemnicy i w niedzielę wieczorem Marco mówił już niemal przekonująco o tym, że zerwał z Corą i nie marzy o niczym innym, jak tylko o zawarciu z Carlem paktu przeciwko siostrze Seeger.

Wprawdzie gorączkowe przygotowania do przeprowadzenia planu odciągnęły mnie trochę od okropnego położenia, w którym się znalazłam, ale dla całej szkoły byłam „natrętem bez godności”.

I dlatego chciało mi się płakać, kiedy w poniedziałek rano przechodziłam przez szkolną bramę.

Matylda i Cora wzięły mnie z obu stron pod ręce i prowadziły przez szkolny korytarz. Marco dostał polecenie trzymania się od mojej siostry z daleka, aby opowieść o ich rozstaniu w weekend wyglądała bardziej wiarygodnie. Postanowiłam sobie, że nie będę chowała głowy w piasek, tylko stawię czoło faktom.

Kilka stojących na korytarzu dziewczyn nachyliło się do siebie, poszeptało i rozległ się chichot. Przed drzwiami do klasy stali Helen i Carlo. Całowali się bez żadnego skrępowania. Mogłabym ich zamordować!

Cora była genialna. Aby przygotować grunt pod realizację planu, rzuciła Carlowi spojrzenie z serii: „Wszyscy faceci to podłe świnię”.

To wystarczyło, aby zasugerować, że między nią a Markiem nie jest najlepiej.

Cora pożegnała się z nami konspiracyjnym mrugnięciem i weszłyśmy z Matyldą do klasy. Alexander spojrzał mi prosto w oczy. Spodziewałam się z jego strony podłych docinków w stylu: „O, jest ten natręt!” albo czegoś w tym rodzaju. Tymczasem nic się nie

wydarzyła Po prostu odwrócił wzrok i zagłębił się w książce do matmy. Tyle, że trzymał ją do góry nogami.

„Tak, tak, powinienesz zapaść się pod ziemię ze wstydu, ty wredny zarazku”, pomyślałam. Alexander mógł mi przecież pomóc w udowodnieniu prawdy, ale nic nie powiedział. OK, w głębi serca wiedziałam, że ja sama przyczyniłam się do tego. Też nie pomogłabym komuś, kto wciąż publicznie nazywa mnie obrzydliwcem. Z drugiej strony Alexander zawsze zachowywał się wobec mnie wstrętne i kto wie, jak mnie przezywał.

„E tam, po co ja w ogóle zawracam sobie tym głowę?”, objechałam się w duchu. Ostatecznie miałam do załatwienia ważniejsze sprawy. Musiałam się zorientować, gdzie Marco mógłby „przypadkiem” spotkać po południu tego padalca Carla.

I, o dziwo, właśnie Helen zupełnie nieświadomie udzieliła mi tej ważnej informacji. W każdej wolnej od nauki sekundzie opowiadała przyjaciółkom o Carlu, oczywiście ciągle rzucając spojrzenia na boki. W którymś momencie coś się jej wysnęło.

- Nieee, dziś po południu się nie spotkamy. Carlo musi pójść do dentysty.

Ooooo! Na razie wszystko pięknie, ale do którego? I na którą godzinę? No? Ann - Sophie pomogła mi w wyjaśnieniu tej kwestii.

- No to dlaczego nie spotkacie się później?

- Bo umówił się na wizytę dopiero o wpół do piątej. I jego dentysta ma gabinet przy ulicy Severina. A ja mam dziś wieczorem balet.

Bingo! Ty głupia kozo, gdybyś wiedziała, że właśnie zdradziłaś swojego kłamiwego ukochanego!

Dzięki zadowolającemu rozwojowi sytuacji przez resztę lekcji nie przejmowałam się już krzywymi spojrzeniami i poszeptywaniem.

Niczym banda rozbójników zebraliśmy się o czwartej po południu przed domem Marca.

Zrobiliśmy małą próbę nagrania. Dyktafon nagrywał wszystko cudownie, mimo że był schowany w plecaku Marca. Potem wsiedliśmy na rowery i ruszyliśmy na miejsce akcji.

Przy ulicy Severina był na szczęście tylko jeden dentysta, co sprawdziliśmy w książce telefonicznej. Ukryliśmy się w jakiejś bramie i obserwowaliśmy przechodniów. Punktualnie o wpół do piątej Carlo wszedł niespiesznym krokiem do domu dentysty. Minęło ledwie pół godziny i już wyszedł. „Mam nadzieję, że dowiercił ci się aż do korzenia”, pomyślałam ponuro. Teraz nasza kolej.

Marco wyszedł z bramy, ruszył w kierunku Carla i zagadnął go. Carlo przyjrzał mu się nieufnie, ale po kilku sekundach jego twarz rozpogodziła się. Śmiał się na całe gardło głupim,

podłym śmiechem. Ryba chwyciła przynętę!

Cora, Matylda i ja uradowaliśmy się bezgłośnie w naszej kryjówce. O ile można było dojrzeć z tej odległości, Marco przyłożył się do swojej roli lepiej niż na wszystkich próbach. Po mniej więcej ośmiu minutach poklepał tego łajdaka po plecach i pożegnali się. Carlo poszedł, pogwizdując, przed siebie, Marco z triumfującym uśmiechem wrócił do nas.

- Załatwione!

Objęliśmy go i okazałyśmy radość, tym razem głośno.

- A teraz zapraszam wszystkich na lody! - zawołałam. - I wtedy sobie tego posłuchamy!

Następnego dnia w szkole serce biło mi jak oszalałe. Musiałam wybrać dogodną chwilę, aby przeprowadzić ostatnią część naszego planu.

- Proszę pana, niedobrze mi.

Skłamałam tylko trochę. Na przerwie widziałam, jak Helen i Carlo chodzili, gruchając do siebie, po dziedzińcu. Od tego widoku jak najbardziej mogło zrobić się niedobrze.

Pan Forster przyjrzał mi się badawczo. Zrobiłam swoją najbardziej chorą minę i opuściłam kąciki ust.

- Wobec tego idź do izolatki, Juliane.

Musiałam się bardzo pilnować, żeby wychodzić z klasy powolnym, zbolałym krokiem. Ledwie znalazłam się na korytarzu, ruszyłam sprintem.

Izolotka była skromnym pomieszczeniem na parterze szkoły. Oprócz nędznej leżanki znajdował się w niej dystrybutor wody. Do izolatki szło się, kiedy miało się problemy z krążeniem, kiedy komuś było niedobrze albo nie odrobiło się zadania domowego. Albo kiedy ktoś chciał doprowadzić do końca plan zemsty!

Pod względem strategicznym izolotka znajdowała się w idealnym dla mnie miejscu. Obok był pokój woźnego. A w pokoju radiowęzeł szkolny. I właśnie dlatego musiałam się tam dostać.

Jeszcze na przerwie ukryłyśmy z Matyldą magnetofon w krzakach. Zabrałam go ze sobą do izolatki i teraz podsłuchiwałam pod ścianą. Woźny był u siebie. Słuchał radia i jeśli mocno wyteżyłam słuch, mogłam usłyszeć jego mlaskanie. Prawdopodobnie jadł właśnie drugie lub trzecie śniadanie. Był dość przysadzisty i właściwie zawsze widziało się go jedzącego.

„Kurczę, to może potrwać”, pomyślałam. Poczekaliśmy dziesięć minut, potem stwierdziłam, że czekanie nic nie pomoże. Musiałam przejść do działania. Wykradłam się z izolatki i pobiegłam do automatu telefonicznego na dziedzińcu.

- Pfeifer - zgłosił się woźny z pełnymi ustami. Zmieniałam głos najlepiej, jak umiałam.

- Mówi Ammerung. Przykro mi, że zawracam panu głowę, ale damska toaleta na piątym piętrze jest zatkana. Powinien pan się tym zaraz zająć, w przeciwnym razie będziemy mieli piękny potop.

Woźny przełknął szybko chleb.

- Ależ oczywiście, łaskawa pani. Już pędzę. Już lecę.

Uwierzył. Specjalnie wymyśliłam toaletę na piątym piętrze. Winda była popsuta od wielu dni i woźny będzie potrzebował mnóstwo czasu, zanim spocony i zdyszany doczłapie na górę.

Popędziłam z powrotem do izolatki, chwyciłam magnetofon, upewniłam się, przyłożywszy ucho do drzwi, że woźnego nie ma, i wkroczyłam do jego królestwa.

Między skrzynkami z żarówkami, gwoździami i kablami odnalazłam węzeł radiowy. Kurza twarz. Dlaczego było tu tyle przycisków? Nie miałam przecież dużo czasu.

Zebrałam całą odwagę i wcisnęłam guzik, który wydawał mi się najsympatyczniejszy, i jednocześnie przycisk startu mojego magnetofonu.

Udało się. Głośno zapiszczało, a potem z głośników na korytarzu popłynął głos Carla. Wycieliśmy wcześniej z kasety głos Marca i tak posklejaliśmy wyznanie Carla, że brzmiało ono absolutnie niepodważalnie w stu procentach.

- Ech, człowieku, trzeba być sprytnym. Jeśli jakiś plan zawodzi, błyskawicznie musisz się przestawić na inny. Właściwie miałem zamiar pocałować Julię, żeby obudzić w Helen zazdrość. No, ale to nie wyszło, bo ta młoda nie pozwoliła się pocałować. Więc zbajerowałem Helen, że to Julia chciała mnie pocałować, a ja jej odmówiłem, wiesz, tak w stylu: „Hej, kochanie, nie całuję się z każdą, chcę tylko ciebie”. I udało się stuprocentowo. Helen jest ze mną, a tej głupiej Julii i tak nikt nie wierzy.

Wcisnęłam szybko STOP i pierwszy lepszy guzik radiowężła, a potem pośpiesznie opuściłam pokój woźnego. Drżałam jak osika. Wprawdzie nikt mnie nie widział, ale czy nie byłoby zbyt podejrzane, gdybym została teraz przyłapana z magnetofonem w ręku tuż obok radiowężła? Nie namyślając się długo, wyrzuciłam go przez okno izolatki. Następnie położyłam się na leżance i udawałam martwą lub przynajmniej śpiącą.

Wyobrażałam sobie, co mogło się dzieć w tej chwili w pozostałych częściach szkoły.

Woźnym na pewno targają sprzeczne myśli. Czy mam ująć złoczyńcę, który majstrował w moim radiowężle? Musiałbym wtedy zbiec z tych schodów, które z takim trudem pokonałem, a winny byłby już dawno za siedmioma górami. Czy też mam sprawdzić toaletę? Prawdopodobnie nie pokapował się, że toaleta była tylko wybiegiem mającym na

celu wyciągnięcie go z pokoju.

Potem pomyślałam o Corze, Matyldzie i Marcu, którzy na pewno ledwie mogą usiedzieć ze śmiechu. Z ogromną przyjemnością wyobraziłam sobie Helen, która pąsowieje z wściekłości i przysięga sobie odprawić z kwitkiem Carla na najbliższej przerwie. I na końcu Carla, który kuli się w swojej ławce jak kupka nieszczęścia, a wszyscy gapią się na niego. Po moim komunikacie w jego klasie na pewno wybuchł chaos. Wszyscy śmiali się z niego do rozpuku, a on został zdemaskowany i skompromitowany.

Podczas gdy byłam jeszcze pogrążona w fantazjach jak to Carlo, jękając się, próbuje zapewniać o swojej niewinności, czyjś głos bezwzględnie przywrócił mnie do rzeczywistości.

- Juliane, chodź ze mną natychmiast!

Przed drzwiami zgromadziła się spora delegacja: pani Ammerung, pan Forster, woźny Pfeifer i dyrektor. Zostałam zaprowadzona do gabinetu dyrektora i musiałam usiąść na krześle.

Do diabła, jakim cudem to się tak szybko wydało? Czyżbym naprawdę była tak naiwna?

- Nie dość, że do swoich prywatnych porachunków posłużyłaś się szkolnym radiowędzłem - zaczął dyrektor - to jeszcze, a to dużo poważniejsze przewinienie, udałaś głos nauczycielki, aby wywabić pracownika naszej szkoły z jego pokoju. Pomijam już fakt, że udałaś chorobę, aby dostać się do izolatki. Nie rozumiem tego. Zazwyczaj jesteś przecież tak grzeczną dziewczynką. A może były już problemy z panną Seeger?

Pan Forster pokręcił głową. Dzięki Bogu nie wspomniał litościwie o przymusowej hodowli larw z Alexandrem.

Także pani Ammerung zaprzeczyła.

- Wprawdzie jest w mojej klasie od niedawna, ale jak dotąd nie sprawiała kłopotów. To zwyczajna, niepozorna uczennica.

„No, dzięki”, pomyślałam. Niepozorna. Ale teraz pożegnałam się z niepozornością i zachowałam się w sposób bardzo zwracający uwagę. Byłam kryminalistką. Zlekceważyłam mnóstwo zakazów. No i...

- Juliane, czy możesz mi wyjaśnić, jak w ogóle do tego doszło? - zapytał dyrektor.

Zastanowiłam się, co robić. Miałam dwie możliwości. Albo opowiem całą prawdę, co potrwa bardzo długo. I czy chciałam przedstawiać swoje prywatne życie przed tym zgromadzeniem, które nie wiedziało o mnie nic poza tym, że byłam niepozorna? Nie, tego nie chciałam. Zdecydowałam się więc na drugą możliwość.

- Nie wiem. To był po prostu żart.

Tym samym wydałam na siebie wyrok. Oskarżona nie wykazuje skruchy. Brak okoliczności łagodzących jej przestępstwo. A więc najwyższy wymiar kary. Nagana w dzienniku i zawiadomienie rodziców.

Kiedy pozwolono mi wreszcie wrócić do klasy, nie wiedziałam już, czy powinnam cieszyć się z całej sprawy, czy nie. A jeśli tylko ośmieszyłam się jeszcze bardziej? Jasne, teraz prawda ujrzała światło dzienne, ale czy na coś mi się to zdało? Czy było to warte tych kłopotów? Co powiedzą rodzice, kiedy dowiedzą się o całej sytuacji?

Gdy jednak weszłam do klasy, natychmiast powróciło do mnie uczucie triumfu. Matylda uśmiechała się do mnie promiennie, wyglądała jak wniebowzięta. Helen posłała mi najstraszliwsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek u niej zauważyłam. A cała reszta klasy patrzyła na mnie z nieukrywanym podziwem. Niektórzy kiwali z uznaniem głowami, inni uśmiechali się krzywo. Nawet dziewczyny, które zazwyczaj skupiały się wokół Helen, mrugały do mnie. Na koniec spojrzałam przelotnie na Alexandra. Wydał się bardzo zadowolony. Prawdopodobnie spodziewał się, że dostanę nieźle za swoje za ten numer.

Cieszyłam się, że Matylda i Cora były przy mnie, kiedy podczas obiadu nastąpiła konfrontacja z rodzicami. Tato w przerwie obiadowej przyjechał specjalnie do domu - mama opowiedziała mu o telefonie od dyrektora, odebrany zaraz po tym, jak wydano na mnie wyrok.

- Co ty sobie myślałaś, Julia? - zapytał tato z miną człowieka, którego nie da się ułagodzić nawet krokodylimi łzami.

Westchnęłam i spojrzałam na Corę i na Matyldę. Wreszcie postanowiłam, że nadszedł czas, by opowiedzieć rodzicom całą historię.

Było popołudnie i tato już dawno zadzwonił do biura, że wróci później, kiedy nareszcie skończyłam swoją opowieść.

Mama westchnęła.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam, że masz takie problemy z tą Helen i że ten Carlo tak cię skrzywdził?

Wzruszyłam ramionami. Sama nie wiedziałam. W pewnym sensie nie chciałam, aby rodzice dowiedzieli się o tym wszystkim. Nie chciałam, żeby się w to mieszała, żeby mi pomagali, żeby było im przykro.

- Myślałam, że poradzę sobie sama. Na twarzy taty pojawił się szeroki uśmiech.

- I wspaniale sobie poradziłaś. Moja córeczka! Nie spodziewałem się po tobie takiej przebiegłości. Radiowęzeł szkolny! Nieźle. Nieźle!

Tato na pewno chwaliłby mnie dalej, gdyby mama nie posłała mu ostrzegawczego

spojrzenia. Ale wiedziałam, że obydwójce rozumieli, dlaczego to zrobiłam. I wiedziałam, że trzymali moją stronę.

- Tydzień aresztu domowego - zdecydowała mama bez przekonania.

- Aż tydzień? - wrzasnęłam.

- To zbyt surowa kara - wtrąciła się natychmiast Cora.

Chciałam właśnie zacząć negocjacje, kiedy mama poddała się sama z siebie.

- No dobrze. Dwa dni. I szorowanie tarasu na dachu. Rzuciłam się jej na szyję. Była to kara absolutnie do zaakceptowania. Po tym całym zamęcie i tak potrzebowałam odpoczynku, a ponieważ Matylda mogła mnie odwiedzać, prawie się nie przejęłam maminy szlabanem.

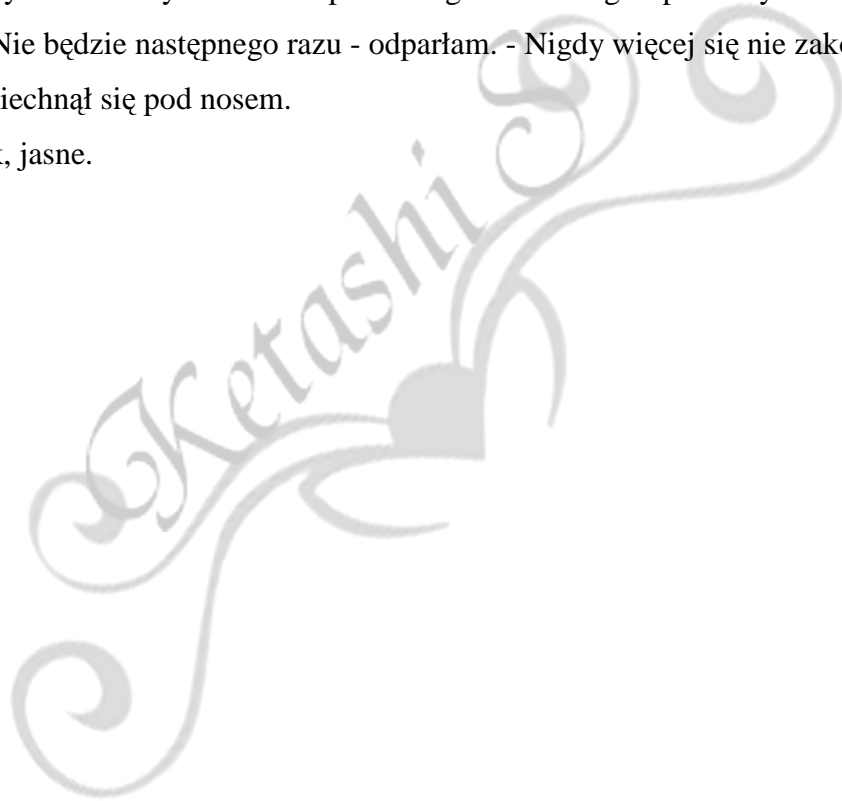
- Właściwie to bardzo fajnie, że teraz już wszystko wiecie - powiedziałam z ulgą.

- Następnym razem wybierzesz na pewno tego właściwego - pocieszył mnie tata.

- Nieee. Nie będzie następnego razu - odparłam. - Nigdy więcej się nie zakocham.

Tato uśmiechnął się pod nosem.

- Tak, tak, jasne.



TRZECIA CÓRKA

Helen rzeczywiście rzuciła Carla zaraz tego samego dnia i przez jakiś czas musiał jeszcze znosić śmiechy i szept, jakie rozlegały się za jego plecami. Cierpiał bezgranicznie!

Kiedy spotykałam go na korytarzu albo na dziedzińcu, rzucał mi wściekłe spojrzenia, ale nie ważył się mnie zagadnąć albo próbować się zemścić.

Areszt domowy szybko się skończył i wszystko powróciło do normalnego, codziennego rytmu. W pewnym sensie po tej całej sprawie łatwiej znosiłam szkołę.

Helen siedziała cicho jak mysz pod miotłą, zupełnie jakby dostała ode mnie po wysoko zadartym nosie. Absolutnie jej nie odpowiadało, że teraz wszyscy wiedzieli, jak złapała się na sztuczkę Carla. Ona, zawsze nieomylna, skompromitowała się straszliwie.

Ann - Sophie i inne dziewczyny, które zwykle nigdy się nie odważyły powiedzieć mi „cześć”, robiły się coraz bardziej rozmowne. Najwyraźniej potrzebowały pretekstu do zaprzestania ciągłego podziwiania Helen. I z czasem stwierdziłyśmy z Matyldą, że właściwie wszystkie były bardzo miłe. Spotkałyśmy się z nimi kilka razy w lodziarni, pogadałyśmy o szkole, nauczycielach i Backstreet Boys. Ku mojemu zdziwieniu wystarczyło, że nie było w pobliżu Helen, a już wszystkie uwielbiały Backstreet Boys.

- Dlaczego znów musisz jechać do dziadków? - zdenerwowana spytałam Matyldę.

- Skąd mam wiedzieć?

- Przecież musisz to wiedzieć.

Matylda straciła panowanie nad sobą. Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

- Kurczę, Julia, to sprawa rodzinna. Nie powinna cię obchodzić. Zostaw mnie wreszcie w spokoju!

Matylda odwróciła się na pięcie i poszła sobie. Spróbowałam złapać ją telefonicznie w domu, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Nie miałam przecież nic złego na myśli. Nie chciałam być wścibska. Zdenerwowałam się tylko dlatego, że Matyldy znów nie będzie przez cały weekend. Dlaczego była tak wrażliwa na punkcie swoich dziadków?

Nie zadzwoniła do mnie przed wyjazdem. Pojechała obrażona. Ogarnął mnie beznadziejny nastrój.

W sobotę nudziłam się śmiertelnie. Zadzwoniłam do Anny.

- Jak myślisz, dlaczego Matylda robi taką tajemnicę z tych swoich dziadków?

- Nie mam bladego pojęcia. Może są chorzy.

- Też tak myślałam, ale o tym mogłaby mi powiedzieć, prawda?

Nie znalazłyśmy żadnego rozwiązania. Anna przerwała mi po piętnastu minutach słuchania mojej opowieści o Matyldzie.

- Julia, muszę ci coś wyznać.

- Co? - spytałam szybko, słysząc niezdecydowanie w głosie Anny. - Stało się coś złego?

- Nieee, to nic złego. Zakochałam się. On nazywa się Peter i jest strasznie słooooodki!

O Boże. Anna się zakochała. Koniecznie musiałam ją ostrzec żeby nie pakowała się w takie sprawy! Przecież doskonale wiedziałam, czym to się skończy.

- Anno, uważaj. Wiem, jak jest fajnie, kiedy się ubóstwia na odległość. Ale pozwól sobie wytłumaczyć...

Anna przerwała mi.

- Żadne na odległość. Chodzimy ze sobą. I już się całowaliśmy. Peter nie jest taki jak twój Carlo. Jest wspaniały.

Zaniemówiłam. Anna miała chłopaka. Wspaniałego chłopaka, który się z nią całował. Nagle stała mi się zupełnie obca. Odczułam przemożną potrzebę zakończenia rozmowy tak szybko, jak to tylko było możliwe.

- No to w takim razie życzę wam dużo szczęścia - powiedziałam sztywno.

- Julia, to nie jest tak. Przecież nie mogę nic na to poradzić, że masz za sobą takie przykre doświadczenie. Zobaczysz, tobie też trafi się ten właściwy.

- Obejdę się i bez tego Przykro mi, Anno, muszę kończyć, jestem umówiona.

Skłamałam. Ale nie mogłam teraz dłużej dyskutować. Cora miała chłopaka. Anna miała chłopaka. I wydawało się, że są bardzo szczęśliwe. Może dlatego, że nie były tak niepozorne jak ja. Ja w każdym razie nie chciałam żadnego chłopaka. Chciałam tylko, żeby wróciła Matylda. Moja najlepsza przyjaciółka absolutnie mi wystarczała.

Kiedy wróciła w niedzielę wieczorem, natychmiast do mnie zadzwoniła.

- Mogę przyjść? Jasne, że mogła.

Na odgłos dzwonka popędziłam do drzwi, otworzyłam je i wzięłam Matyldę w ramiona. To, że chciała przyjść, było dla mnie wystarczającym dowodem, że nie była już na mnie zła. Rzeczywiście nie gniewała się już, bo pozostała w moich ramionach, dopóki jej z nich nie wypuściłam.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Muszę z tobą pogadać.

Słyszałam w jej głosie, że nie ma dla mnie dobrych wiadomości.

- Wiesz, Julio, to, że ostatnio byliśmy z tatą dwa razy u dziadków, jest czymś spowodowane.

- Domyślam się. Ale nie chciałaś mi powiedzieć, czym.

- Powiem ci teraz.

Matylda zrobiła długą pauzę i czułam, że nie powinnam jej przerywać.

- Z moją mamą jest coraz gorzej. Nie będzie już z nami mieszkała.

Chciałam coś powiedzieć, ale Matylda położyła palec na moich wargach.

- Pozwól mi najpierw wszystko opowiedzieć. Skinęłam głową.

- Pójdzie do kliniki. I to na długą Tato wyjeżdża do Tajlandii, ponieważ znalazł tam nową pracę. Znowu. - W tym miejscu Matylda zaśmiała się szyderczo. Potem znów zamilkła. W mojej głowie eksplodowały myśli. Mama Matyldy jedzie do kliniki, tato - do Tajlandii. A Matylda? Co się stanie z Matyldą?

- Przeprowadzę się do dziadków. Dlatego pojechaliśmy do nich dwa razy, żeby wszystko załatwić. Ze szkołą i w ogóle. Myślę, że tak będzie najlepiej. Wtedy nie będę się musiała przeprowadzać, jeśli tato wyjedzie do Timbaktu albo diabli wiedzą, dokąd jeszcze.

Zaniemówiłam. Matylda zakończyła swoje sprawozdanie i wpatrywała się teraz w kopułę katedry w promieniach zachodzącego słońca. Opowiedziała o tym wszystkim bez emocji, jakby chodziło o jakieś streszczenie na lekcji niemieckiego.

W gardle urosła mi wielka klucha. Nie wiedziałam, co robić. Jak pocieszyć najlepszą przyjaciółkę, której rozpada się całe życie? I jak to zrobić, skoro samemu jest się zdruzgotanym wieścią o tym, że najlepsza przyjaciółka odchodzi?

- Matyldo - wyszeptalam. - To straszne.

A potem zaczęłam ryczeć bez opamiętania. Matylda przez chwilę patrzyła na mnie zmieszana, jakby moje łzy były dziwacznym przedstawieniem, z którym kompletnie się nie liczyła. Później jednak wyraz jej twarzy zmienił się i oczy zaszyły łzami. Wytarła je bez ceregieli. Wzięłam ją w ramiona, pogładziłam po głowie i plecach, i przycisnęłam ją mocno do siebie. I wtedy coś w niej pękło. Niczym z fontanny, która przez lata była zatkana, z jej oczu trysnęły łzy. Płakała, aż na dworze zrobiło się zupełnie ciemno.

Kiedy przyszła do nas mama i opowiedziałam jej szeptem, co się stało, przytuliła nas obie i pogłaskała po głowach.

- Czy Matylda nie mogłaby zamieszkać u nas? - spytałam.

Mama westchnęła.

I wiedziałam, że to oznaczało „nie”.

Mamę Matyldy zabrano do kliniki odwykowej, w której lekarze mieli ją wyleczyć z

alkoholizmu.

- Ale to się nie uda - stwierdziła Matylda. - Jeszcze nigdy się nie udało.

Sędziałyśmy z Matyldą każdą wolną chwilę.

- Co ja zrobię bez ciebie? - rozpaczalam.

- Myślę, że Ann - Sophie jest całkiem fajna, umów się z nią. - Matylda próbowała podchodzić do sprawy pragmatycznie. - A ja u dziadków zaprzyjaźnię się z kilkoma wieśniarami.

Musiałyśmy się roześmiać. Wieśniary. Tak nazwała nas Helen, kiedy przyszyłyśmy do nowej szkoły. Wydawało mi się, że było to lata temu.

Ledwie zarejestrowałyśmy ostatni dzień roku szkolnego i rozdanie świadectw. Myślami byłyśmy zupełnie gdzie indziej. Miałyśmy dla siebie jeszcze trzy dni wakacji. Potem tato Matyldy miał ją odwiedzić do dziadków.

Kiedy Matylda spała u nas ostatni raz, mama przygotowała uroczystą kolację i zrobiliśmy małe przyjęcie. Byli też Marco i Cora. Tato wygłosił krótkie przemówienie i przypomniał, jak wyrażała się Matylda, kiedy ją poznaliśmy.

- Czy byłabyś tak nieskończenie miła i podała mi miseczkę?

Tak było. Im dłużej Matylda miała do czynienia z naszą rodziną, tym bardziej jej dziwaczny sposób wyrażania się normalniał. Rzadko się teraz zdarzało, żeby mówiła tym swoim podniosłym językiem.

- Taaak, pod wpływem Seegerów każdy schodzi na ziemię! - żartował tato. Potem wznosił uroczysty toast. - Wiem, że Julii będzie ciębie strasznie brakowało. Ale nie tylko Julii. Nam wszystkim. W ciągu tych ostatnich miesięcy byłaś dla nas jak trzecia córka.

Wypiliśmy za to i każdemu z nas, poza Markiem, który nie miał nic wspólnego z całą sprawą, spłynęła po policzku przynajmniej jedna łza.

Mama upiekła ulubioną pizzę Matyldy, a na deser był tort, na którym zrobiłam czekoladowy napis: *Matyldą kocham Cię*. I kiedy powspominaliśmy już wszystkie wydarzenia, wreszcie położyłyśmy się z Matyldą po raz ostatni w moim o wiele za wąskim łóżku.

- Ach, Julio, będzie mi tego brakować - westchnęła Matylda.

- Czego?

- Tego, że kopiesz mnie we śnie i prawie wypychasz z łóżka. I że na mnie czekasz przed lekcjami. I że razem dajemy nauczkę Helen albo Alexandrowi. Ze razem się śmiejemy. I płaczemy.

Byłam tak wzruszona, że tylko przełykałam ślinę. Tej nocy długo nie mogliśmy

zasnąć. Trzymałyśmy się za ręce, jakbyśmy w ten sposób mogły zapobiec naszemu rozdzieleniu.

Rano dołączyła do nas jeszcze Cora i przytuliła Matyldę.

- Powodzenia, mój najdroższy leśny stworku - powiedziała czule.

- Opiekuj się Julią - odparła Matylda z opanowaniem. - Pomyśl czasem nie tylko o Marcu, ale i o niej, dobrze?

Cora posłusznie skinęła głową.

A potem nadszedł już czas. Rozległ się dzwonek. Po Matyldę przyjechał jej tato.

Zmieszani zebraliśmy się w korytarzu. A potem zeszliśmy jednak z Matyldą po schodach. Jej tato bardzo się zdziwił, widząc nas wszystkich.

- Ja... - wyjąkał - .. .chciałbym państwu podziękować za... Może nie bardzo troszczyłem się o swo...

- Nie ma pan za co dziękować - przerwała mu mama. - Zawsze bardzo się cieszyliśmy z obecności Matyldy. Życzę panu, żeby w pańskiej rodzinie wszystko się dobrze ułożyło.

Moja mama. Czasami była po prostu super. Ostatni raz przytuliłam do siebie moją Matyldę.

- Pamiętaj o naszej przysiędze - szepnęła.

- Jasne. Zawsze.

ZŁAMAŁAŚ PRZYSIĘGĘ!

Cora wyjechała z grupą młodzieży do byłej Jugosławii, gdzie mieli się opiekować zaniedbanymi ogrodami. Mama i tato zdecydowali, że w drugiej połowie wakacji pojedziemy na wspólny, rodzinny urlop. Na Elbę. Przez dwa tygodnie słońce, plaża i owoce morza. Już bardzo się na to cieszyłam, ale wcześniej musiałam jakoś spędzić trzy niekończące się tygodnie w Kolonii bez Matyldy.

Rozmawialiśmy przez telefon prawie codziennie, Matylda opowiadała mi, jak jej się wiedzie w nowym miejscu zamieszkania.

- Na tej wsi wcale nie jest tak źle. Babcia jest prawie tak dobrą kucharką jak twoja mama, w pobliżu jest cudowne jezioro, a pies dziadka od pierwszego dnia wbił sobie do głowy, że będzie spał w moim łóżku.

Cieszyłam się, że Matyldzie było dobrze. Odkrywała nowy świat. Ale ja zostałam tu sama. Teraz mogłam zrozumieć, jak czuła się Anna, kiedy wyprowadziłam się do Kolonii.

- Brakuje mi ciebie - powiedziałam do Matyldy.

- Mnie ciebie też - odparła. - Chciałabym, żebyśmy mogły to wszystko przeżyć razem.

Przy każdej kolejnej rozmowie Matylda wydawała się coraz weselsza. Jasne, że cieszyłam się razem z nią. Ale czemu ja stawałam się coraz bardziej nieszczęśliwa?

Mama wyczytała w mojej twarzy zły nastrój, kiedy snułam się beczynnym po pokoju i markotnie popijałam colę.

- Julia, co ci jest? Masz wakacje, a chodzisz z miną jak chmura gradowa. Zajmij się czymś.

- Ale ja nie chcę się niczym zajmować! - zrzędziłam. - A niby gdzie jest napisane, że w czasie wakacji trzeba się czymś zająć? Może ja chcę sobie po prostu odpocząć i posiedzieć w domu!

Mama dosiadła się do mnie na kanapę.

- Sama w to nie wierzysz. Nie chcesz powiedzieć, co ci doskwiera? Może dobrze ci zrobi, kiedy ze mną o tym porozmawiasz. Nawet, jeśli jestem tylko twoją mamą.

Przekonała mnie.

- Matylda jest na wsi coraz szczęśliwsza. Wcale za mną nie tęskni - wystrzełam. I natychmiast zaczęły mi płynąć z oczu łzy.

Mama objęła mnie.

- Zajączku, myślę, że się mylisz. Na pewno jej tak samo brakuje ciebie. Sądzę, że jest

szczęśliwa, bo wreszcie ma wrażenie, że należy do rodziny.

- Ale miała przecież mnie!

- I byłaś dla niej wielką podporą. Ale ani ty, ani ja nie mogliśmy zastąpić Matyldzie domu. Z tego, co słyszę, znalazła teraz dom u dziadków.

Mama znów wyraziła to precyzyjnie. Właściwie sama o tym wiedziałam. Tylko było mi ciężko zaakceptować, że Matylda całkiem nieźle obchodziła się beze mnie, podczas gdy ja bez niej siedziałam tu sama jak palec.

- No to co mam teraz zrobić? Mama wytarła mi łzy z twarzy.

- To trudne, prawda? Musisz jakby zaczynać od początku, bez Matyldy. I tego się boisz.

O tak. To było to: bałam się. Panicznie się bałam! Jeszcze przez chwilę pochlipyłam mamie w sweter, a potem zrobiło mi się trochę lepiej.

- Wiesz co, mamó? Zadzwońię po prostu do Ann - - Sophie i spytam, czy się ze mną spotka.

Mama była ze mnie dumna.

- To dzielna i właściwa postawa!

Poszukałam numeru Ann - Sophie i zadzwoniłam. Co mi odpowie? Czy w ogóle będzie miała ochotę umówić się ze mną? A może Helen odzyskała swój wpływ i Ann - Sophie lodowato odprawi mnie z kwitkiem?

- Cześć, tu Julia. Pomyślałam... eee... - dalej nie dałam rady.

- Kobieto, Julia, ale fajnie! Też miałam do ciebie dzwonić. Chcemy pojechać z kilkoma dziewczynami na basen. Miałabyś ochotę?

Pewnie, że miałam ochotę.

- Czy Helen też będzie? - spytałam nieufnie. Ann - Sophie roześmiała się.

- Nie, od wczoraj jest na wczasach. A nawet gdyby była, to w ostatnich dniach bardzo złagodniała. Na koniec pewnie zrobi się zupełnie miła.

Obydwie musiałyśmy się roześmiać i umówiłyśmy się o trzeciej na odkrytym basenie.

To było naprawdę fajne popołudnie. Przyniosłam magnetofon i włączyłam kasetę Backstreet Boys. Ann - - Sophie i pozostałe dziewczyny znały teksty piosenek na pamięć, tak samo jak ja.

- W mojej starej szkole założyłyśmy z przyjaciółką fanklub Backstreet Boys - opowiadałam. - Ale kiedy się wyprowadziłam, musiałyśmy go rozwiązać.

- To jest świetny pomysł! - ucieszyła się Ann - Sophie. - Przecież my też możemy założyć fanklub Backstreet Boys!

- O tak! - zapaliła się dwumetrowa Pauline. - Będziemy chodziły razem na koncerty, a wcześniej przygotowywały transparenty!

Sprawa była załatwiona. Założyłyśmy fanklub i nazwałyśmy go „The Screaming Fans”. Już pierwszego dnia liczył pięć członkiń.

Potem Ann - Sophie poprosiła, abym jeszcze raz opowiedziała ze szczegółami historię o Carlu i Helen oraz wyznaniu na kasecie. Zrobiłam im tę przyjemność. Dziewczyny słuchały mnie z błyszczącymi oczyma. Zawsze, kiedy padało imię Matyldy, spoglądały na mnie ze współczuciem, jakby się bały, że w każdej chwili mogę się rozplakać. Tego popołudnia czułam się jednak za dobrze na płacz.

- A potem obydwie z Matyldą przysięgłyśmy, że się nigdy więcej nie zakochamy. Uważamy, że faceci sprawiają tylko kłopoty.

- O kurczę - stwierdziła Ann - Sophie.

Pobiegłyśmy wszystkie na brzeg basenu i z głośnym pluskiem wskoczyłyśmy do wody. Już po chwili wyprzedziłam je wszystkie kraulem.

- Julia, ale ty świetnie pływasz! - zawołała z uznaniem Pauline. - Zapisz się do naszej drużyny pływackiej. Przyda nam się ktoś taki jak ty!

Wydawało mi się, że czas się cofnął. Tego popołudnia czułam się tak, jakbym dopiero co sprowadziła się do tego miasta i właśnie poznała dziewczyny z mojej nowej klasy. Jakże inaczej wyglądałyby te wszystkie miesiące, gdyby tak było od samego początku! „Właściwie jednak nie chciałabym stracić tych ostatnich miesięcy”, pomyślałam. Zyskałam w Matyldzie przyjaciółkę. Zakochałam się. Dałam sobie z tym radę. I zemściłam się.

Było mi dobrze, leżałam bez ruchu na wodzie i z uśmiechem na ustach myślałam o wszystkim, co się wydarzyło, kiedy ktoś nagle zanurzył mnie pod wodę. Zakrztusiłam się porządnie i pod wpływem paniki straciłam na chwilę orientację. Gdy odzyskałam kontrolę nad sobą, zobaczyłam Alexandra płynącego do krawędzi basenu. To on wcisnął mnie pod wodę. „Tchórz! Gnojek!”, pomyślałam. Faceci sprawiają tylko kłopoty!

Następnego dnia po południu poszłam z Pauline na trening pływacki. Trener był miłym panem z łysiną na pół głowy i bardzo się ucieszył, że pozyskał do drużyny nową zawodniczkę. Niczego nie zapomniałam i dopiero teraz spostrzegłam, jak bardzo brakowało mi pływania.

Po treningu spotkałyśmy się z Ann - Sophie i innymi dziewczynami w lodziarni i snułyśmy plany działalności naszego fanklubu. Wieczorem poszłyśmy do kina na nowy film z Johnnym Deppem i rozdzieliliśmy między sobą ogromną porcję prażonej kukurydzy.

Również następnego dnia spotkałyśmy się na basenie, a wieczorem poszłyśmy na

dyskotekę do klubu młodzieżowego.

Byłam w tak świetnym nastroju, że nie miałam najmniejszych oporów, by tańczyć jak szalona. Zobaczyłam Carla i uśmiechnęłam się do niego dość bezczelnie. Był mi doskonale obojętny. Spotkałam Marca, który siedział z nosem spuszczonej na kwintę i biadolił mi przez pół godziny, jak bardzo stęsknił się za Corą. A ja tylko raz pomyślałam przelotnie o Matyldzie i zastanowiłam się, co mogła akurat teraz robić.

Dopiero po trzech dniach zameldowałam się znowu u Matyldy.

- Cześć, to ja. Co słychać?

- W porządku. Bardzo dobrze - odparła Matylda. Jej głos brzmiało jakoś dziwnie. Pomyślałam, że być może była trochę obrażona, że nie dzwoniłam do niej przez trzy dni, więc pośpieszyłam z opowiadaniem jej nowości.

- Bardzo mnie to cieszy - stwierdziła.

Potem zamilkłyśmy. Między nami coś się zmieniło, nie było już tak, jak kiedyś.

- Matylda? Co jest? Jesteś jakaś dziwna. Matylda odchrząknęła, ale nic nie powiedziała.

- Bardzo cię proszę - błagałam. - Jeśli zrobiłam coś niewłaściwego, to mi powiedz. Czy chodzi o to, że nie umiałam się tak naprawdę cieszyć z twojego dobrego samopoczucia? Nie bądź na mnie zła. Było tak tylko dlatego, że...

- Nie, Julio - przerwała mi Matylda. - Nie jestem zła. Ja... ja...

Matylda zamilkła. Co, u diabła, mogło się wydarzyć, że nie miała odwagi mi o tym powiedzieć?

- Masz jakieś problemy z dziadkami? Coś z mamą? Z tatą?

- Nie, nie, nie - odpowiedziała Matylda. - Ja... Złamałam naszą przysięgę...

Tym razem nie dałam jej dokończyć.

- Co zrobiłaś? - spytałam, niczego nie rozumiejąc.

- Zakochałam się.

To, co powiedziała później, dotarło do mnie bardzo niewyraźnie.

- Ma na imię Rolf i mieszka obok. Chodzimy codziennie razem nad jezioro. Jest miły i wczoraj wieczorem trzymał mnie za rękę. I...

- Jak mogłaś?! - przerwałam jej.

Jak mogła? Przecież to ona przez cały czas ostrzegała mnie przed mężczyznami. Przecież to ona powtarzała, że faceci sprawiają tylko kłopoty. Jakim cudem mogła się zakochać?

- Czy przysięga nic dla ciebie nie znaczy? - ryknęłam. - Ledwie wyjechałaś, już masz

w nosie to, co sobie obiecałyśmy?

Matylda była zakłopotana.

- Julio, przykro mi. Wiem, to niewybaczalne. Ale co mam zrobić? Nie potrafię nic na to poradzić. Po prostu stało się. Wcałe nie wiedziałam, że to może się zdarzyć tak szybko.

Nie mogłam jej zrozumieć. Nie miałam też na to ochoty. A niech sobie w takim razie jest szczęśliwa z tym Rolfem, Ralfem czy Rudolfem. Niech zapomni o wszystkim, o całej naszej przyjaźni. Ja też o niej zapomnę. Będę chodziła z nowymi przyjaciółkami na basen, będę pływała i zwyciężała. I dotrzymam swojej przysięgi.

- Powodzenia, Matyldo - wyrzekłam sucho.

- Poczekaj, Julio. Pogadajmy!

Ale ja nie chciałam już gadać. Chciałam tylko mieć spokój.

- Innym razem - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi i do domu weszli rodzice, obciążeni walizkami i torbami, a za nimi Cora z uszczęśliwionym Markiem u boku. Cora bez wytchnienia opowiadała o swoim wyjeździe. W przerwach wciąż całowała Marca w policzek i napawała się jego zakochanym spojrzeniem. Siedziałam z nimi przy kuchennym stole i czułam się jak bomba tuż przed wybuchem.

- A co u Matyldy? - spytała nagle Cora.

- A skąd mam wiedzieć?! - wrzasnęłam i zerwałam się od stołu.

- Co jej jest? - usłyszałam pytanie Cory, kiedy brałam kurtkę i zatrzasnęłam za sobą drzwi mieszkania.

Wcałe nie wiedziałam, co mnie tak potwornie zdenerwowało. Wiedziałam tylko, że muszę biec. I pobiegłam ulicą jak szalona, potracając przechodniów. Ku swemu zdziwieniu zauważyłam, że nagle popłynęły mi po policzkach łzy. Wówczas schroniłam się w małym parku, którego nie odwiedziłam nigdy więcej od dnia naszego przyjazdu do Kolonii. Klapnęłam na ławkę, podciągnęłam nogi i ukryłam twarz między kolanami.

Nagle już nic nie wiedziałam. Czy rzeczywiście wszyscy chłopcy byli głupi? Czy zakochanie to naprawdę taka paskudna sprawa? A może to ja zawiniłam, że moja miłość skończyła się fiaskiem? Julia Niepozorna, której nic się nie udaje!

Zrobiło mi się okropnie żal samej siebie i zaczęłam snuć szalone plany. Wrócę do Anny. Ale Anna miała Petera! Pojadę do Matyldy. Ale Matylda miała Rolfa, Ralfa czy Rudolfa. Cora miała Marca, a mama miała tatę. Tylko ja byłam sama. Ja nie miałam nikogo.

W tym momencie poczułam coś na ramieniu. Było to bardzo delikatne głaskanie. „Masz już halucynacje”, pomyślałam. Ale głaskanie nie ustawało.

- Co się stało?

Och, znałam ten głos. Znałam go aż za dobrze.

- Co cię to obchodzi, Alexander! - warknęłam przez łyżę. - Znów będziesz się ze mnie tylko nabijał. Rycz! Rycz! - rzuciłam mu złe spojrzenie, ale w tej samej chwili przemknęła mi przez głowę pewna myśl. Proszę, nie zabieraj ręki!

Nie zabrał ręki.

- Zachowywałem się wobec ciebie podle. Wiem o tym.

Czy to naprawdę mówił Alexander? A może to pułapka? Co on zamierzał?

- Przykro mi. Ja... eee... Ale ty też zawsze zachowywałaś się wobec mnie tak głupio - wyjąkał.

- Co? A kto zaraz na początku obrzucił mnie cukierkami?

- Nie miałem złych zamiarów. Chciałem się tylko z tobą trochę podroczyć, ale ty zareagowałaś tak gwałtownie.

Alexander podał mi chusteczkę, a ja porządnie wytarłam nos.

- No i w szkole poszło tak dalej. Nie chciałem cię już denerwować, ale ty mnie nie znosiłaś, dlatego wciąż powtarzałem te swoje głupie powiedzonka.

Nie wierzyłam własnym uszom. Byłam oszołomiona jego słowami. Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że on potrafi tak rozsądnie mówić.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko było tylko nieszczęśliwym splotem nieporozumień? - spytałam słabym głosem.

- Tak, coś w tym stylu.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu obok siebie i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Zawsze tylko kłóciliśmy się i graliśmy sobie na nerwach. O czym można rozmawiać, kiedy nagle zapanował pokój?

- Muszę już iść - odezwał się Alexander. - Mam trening. Ale... jeśli masz ochotę... eee... Moglibyśmy pójść jutro razem na lody.

Skinęłam głową.

- OK.

Alexander rozpromienił się.

- Przyjdę po ciebie. To co, o trzeciej?

- Cora, ja tego nie rozumiem - westchnęłam na zakończenie opowieści o spotkaniu z Alexandrem.

Cora ziewnęła.

- Jak dla mnie to sprawa jest jasna jak słońce! Alexander ma jeszcze mleko pod

nosem. Zabijał się w tobie od samego początku. Ale jak to z małymi chłopcami bywa, nie umiał tego okazać. I dlatego cię męczył. Wiesz przecież - kto się lubi, ten się czubi.

- Myślisz, że on naprawdę mnie lubi? - spytałam z niedowierzaniem.

- Ależ tak. Dlatego zostawił cię na lodzie, kiedy wyszła ta sprawa z Carlem. Był po prostu zazdrosny o ciebie.

- I dlatego z wściekłości dał Carlowi tę karteczkę?

- Faceci robią najbardziej szalone rzeczy, kiedy buzują im hormony. - Cora spojrzała na mnie pytająco. - Powiedz, też uważasz, że jest miło, no nie?

Wzruszyłam ramionami.

- E tam. Ani trochę.

Odwróciłam się szybko i zmieniłam temat.

Punktualnie o trzeciej Alexander zadzwonił do drzwi. Cały ranek spędziłam na podejmowaniu decyzji, co założyć: czerwoną minispódniczkę czy dzinsy.

Alexander rozpromienił się. Poszliśmy na lody, zamówił dla mnie wielki puchar - niespodziankę. Byłam pewna, że wydał na niego całe kieszonkowe. Po pierwszych chwilach jedzenia lodów w milczeniu, Alexander zaczął opowiadać o swoim klubie piłki nożnej. A później ja o pływaniu.

- Założyłyśmy z Ann - Sophie i innymi dziewczynami fanklub Backstreet Boys - oznajmiłam.

- Backstreet Boys? Podobają mi się, są OK - stwierdził.

Był pierwszym chłopakiem, od którego to usłyszałam. Super!

Czas mijał błyskawicznie. Gadaliśmy bez przerwy całe dwie godziny. Było prawie jak z Matyldą, przemknęło mi przez myśl. Wcale nie musiałam się zastanawiać, co mówiłam, czy byłam dość wyluzowana i co on sobie o mnie pomyśli.

Potem zdecydowaliśmy, że pojedziemy nad Ren. Tam położyliśmy w trawie rowery i usiedliśmy obok nich. Alexander opowiadał kawał za kawałem, a ja śmiałam się do rozpuku. Tak się nawzajem rozśmieszaliśmy, że ledwie mogliśmy złapać oddech.

- Patrz! On nazywa się „Julia”! - Alexander wskazał na wielki frachtowiec, który płynął po Renie. Rzeczywiście. Nazywał się tak samo, jak ja.

- Typowa Julia, zawsze pod prąd - zauważył Alexander ze śmiechem.

Byłam zdumiona. Naprawdę tak mnie postrzegał? Nie uważał mnie za niepozorną?

- Myślisz, że taka jestem?

Alexander skinął głową. Potem nagle oboje zamilkliśmy i podążaliśmy wzrokiem za statkiem.

- Słuchaj... Julia... Ja... Chciałem cię spytać, czy... - Tak?

Alexander objął mnie.

- Czy... eee... czy ty... ze mną... Położyłam mu palec na ustach. - Tak!

- Tak? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak - powtórzyłam. Uśmiechaliśmy się długo do siebie.

- Coś tu masz - stwierdził w pewnym momencie Alexander i bardzo delikatnie wyjął mi z włosów biedronkę.

Zdmuchnęłam ją w trawę.

- Miłej podróży.

Alexander pogładził mnie po policzku.

- Jest taki mięciutki - szepnął.

A potem wszystko potoczyło się samo z siebie. W ogóle o tym nie myślałam. Nasze głowy coraz bardziej się do siebie zbliżały, zamknęłam oczy i nagle moje usta dotknęły jego ust. Nad jego górną wargą był delikatny puszek, zupełnie jak na moim przedramieniu. Jego usta były miękkie i ciepłe. I siedzieliśmy tak, przyciskając do siebie usta i stykając się czubkami nosów. W moim sercu rozbrzmiewało mnóstwo dzwoneczków i byłam niesamowicie szczęśliwa, że nie muszę teraz stać na swoich chwiejnych nogach.

- To było piękne - powiedziałam cicho, kiedy nasze usta się rozłączyły.

Alexander skinął głową.

- Myślę, że potrafię jeszcze lepiej - stwierdził.

A potem pocałowaliśmy się jeszcze raz. I jeszcze raz. I było coraz piękniej.

- On się nazywa Rolf, Ralf czy Rudolf? - spytałam od razu, kiedy Matylda podniosła słuchawkę.

- Rolf - powiedziała ostrożnie.

- Wiesz, Matylda - westchnęłam - byłam wielką idiotką.

- Ale ja też - dodała szybko Matylda.

- Obydwie byłyśmy. Ta przysięga była idiotyczna. Matylda roześmiała się.

- Właśnie! Ale ja byłam większą idiotką, bo zaczęłam to wszystko.

- Nieee, to ja byłam większą, bo byłam na ciebie wściekła, że nie dotrzymałaś tej kretyńskiej przysięgi.

- Ty głupia idiotko! - krzyknęła do słuchawki Matylda, dusząc się ze śmiechu.

- Ty supergłupia megaidiotko! - zachrypiałam. A potem wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

- Nie uwierzysz w to, co ci teraz powiem! - wysapałam. - Nie zdołasz tego pojąć!

- Julio - przerwała mi Matylda. - Niezależnie od tego, jakie bzdury chcesz mi teraz wcisnąć, musisz wiedzieć jedno: bardzo cię lubię i tak będzie zawsze.

Ups. Z kącika oka spłynęła mi łza. Kiedy ja wreszcie przestanę beczeć na zawołanie? Czy dopiero, gdy wyrosnę z wieku dojrzewania? Ale kiedy to będzie? Czy to jeszcze długo potrwa? I co mnie czeka, zanim to się stanie? Cokolwiek by się jednak wydarzyło, miałam dwie najlepsze przyjaciółki, na których mogłam polegać. Miałam siostrę, miałam rodziców i fanklub Backstreet Boys. I miałam Alexandra. Co miałoby mi się nie udać?

